

MOŻESZ CZYTAĆ, NIE WYCHODZĄC Z DOMU – WYDANIE SPECJALNE



HiTv

„Do Rzeczy” z 2013 r.

10 najlepszych tekstów

- **Semka** rozmawia z Václavem Klausem
- **Krasnodębski** o niemieckim centrum Europy
- **Lisicki**: „Kto zabił Jezusa”
- **Ziemkiewicz** o zagadce Adama Michnika
- **Gmyz** o polskim donosicielu w Watykanie
- **Cenckiewicz** o rodzinnej historii Kaczyńskich
- **Terlikowski** ostro spiera się z Hołownią
- **Wildstein** rozmawia z Jarosławem Kaczyńskim
- **Zychowicz** z Suworowem o Rosji
- **Magierowski** krytycznie o Sikorskim



W RZECZY SAMEJ

Lista przebojów „Do Rzeczy”

Nikt nie mógł przewidzieć, że największym zagrożeniem, z którym zetknie się Polska, i nie tylko ona, będzie fala epidemii. Zaraza i morowe powietrze – te słowa do XXI w. po prostu nie pasują. Zdają się przypominać zamierzchłą przeszłość, coś, co w dziejach ludzkości raz na zawsze, dzięki postępowi nauki i medycyny, zostało przezwyciężone.

To jednak, co się nie miało prawa stać, właśnie się dzieje na naszych oczach. Miliony Polaków zmuszone są ograniczyć swoją aktywność. Wielu postanowiło w ogóle nie wychodzić z domu, inni zredukowali wszelką aktywność do minimum. To odpowiedź na narastające zagrożenie ze strony śmiertelniegroźnego wirusa. Trzeba przyznać, że do tej pory polski rząd zdaje się panować nad sytuacją. Jako jeden z pierwszych wprowadził najsukcesowniejшие rozwiązania – zamknięcie szkół, przedszkoli, uczelni, kin, galerii handlowych, wezwanie do pracy zdalnej, zamknięcie granic – które po nim przejęły inne. W porównaniu z zachowaniem choćby prezydenta Francji postępowanie polskich władz jest wzorem spokoju i roztropności. Emmanuel Macron najpierw długo lekceważył niebezpieczeństwo i mimo rosnącej liczby zachorowań przechodził nad problemem epidemii do porządku dziennego, aby potem, jednym ostrym

ruchem, zamknąć Francję na cztery spusty. Jeśli nie jest to przejaw hysterii, to co nim jest?

Oczywiście wszystkie rządy państw demokratycznych znajdują się w niewygodnym położeniu. Żyjemy w świecie masowej demokracji medialnej, w którym to decydujące znaczenie dla zachowania polityków mają masowe emocje społeczne. Te zaś są prostą pochodną sposobu przekazywania informacji. W pewnej mierze dodatkowa groza i strach, który towarzyszy fali zachorowań, są właśnie efektem psychozy. Jednak zdrowy rozsądek podpowiada, by w każdej sytuacji zachować zimną krew. Publicyści, pisarze, dziennikarze tygodnika „Do Rzeczy” starają się – mam nadzieję, że widać to na naszych łamach – pomóc w zachowaniu takiego dystansu. Wiele lat temu pisałem o tym w pierwszym numerze „Do Rzeczy” w taki sposób: „Dzięki temu [że zostało

założone nasze pismo] w przestrzeni publicznej będzie brzmiał donośnie głos konserwatywno-liberalny. Głos broniący tradycji chrześcijańskiej, polskości, pamięci narodowej, ale zarazem głos broniący wolności debaty politycznej i przedsiębiorczości. Głos wyrazisty i mocny, ale też rozsądny i suwerenny”. Pisałem to kilka miesięcy po faktycznym upadku „Uważam Rze”, po tym, jak zdecydowaliśmy się – grupa publicystów i dziennikarzy – powołać na jego miejsce właśnie „Do Rzeczy”.

Dzisiaj, w tej nowej sytuacji, w której tyłu naszych czytelników musi zostać w domu, i tych, którzy są z nami od początku, i tych, którzy są nowymi fanami „Do Rzeczy”, postanowiliśmy przypomnieć Państwu zestaw najlepszych, naszym zdaniem, artykułów i tekstów. Będzie to swoista lista przebojów. Powiedzmy: redakcyjna lista przebojów – artykułów z „Do Rzeczy”. Sporządzamy ją przede wszystkim po to, by dostarczyć naszym Czytelnikom dobrej, wartościowej publicystyki. Wolny czas w domu niech nie będzie czasem wolnym od refleksji i myślenia. Ponadto pokazujemy, że wiele publikacji pozostało aktualnych. Nic nie straciły, wierzę, na znaczeniu. Czas kwarantanny i braku aktywności w końcu się skończy. Mam nadzieję, że z naszym skromnym udziałem mimo wszystko będzie go Państwu – naszym Czytelnikom – łatwiej przetrzymać. © ©



„DO RZECZY”, WYDANIE SPECJALNE, CZĘŚĆ 1.
Hit „Do Rzeczy” z 2013 r.

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan,
Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela), Tomasz Culiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkos, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torzański, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wołski, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”).

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia),

Jakub Tański, **Jacek Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wójciewicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**

Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agnieszka Wasilewska**

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**

ISSN 2300-2034

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

Václav Klaus,
prezydent Republiki Czeskiej

Boję się o Europę



wywiad przeprowadził
Piotr Semka

7 marca prezydent Václav Klaus przekaze urząd swojemu następcy. Klaus nie pasował do dość powierzchownych w Polsce opinii, uznających styl Václava Havla za jedyny wzorzec czeskiej polityki. Klaus był inny. Nie należał do partii komunistycznej. Do liberalnych poglądów dojrzał, robiąc karierę naukową w Czechosłowackiej Akademii Nauk. Po 1989 r. zdecydowanie odrzucał opozycyjne poczucie wyższości, z jakim byli dysydenci wypowiadali się na temat polityki.

Klaus był zimnym realistą – zarówno gdy w 1989 r. jako pierwszy niekomunistyczny minister finansów zaczynał reformy, jak i w 1992 r., gdy zaakceptował podział Czechosłowacji. Z biegiem lat coraz lepiej rozumiał też konieczność obrony dobrego imienia swojego kraju. Dlatego zawsze odrzucał niemiecką krytykę dekretów Benesza, na mocy których po wojnie wysiedlono Niemców sudeckich, w przynajmniej większości popierających w 1938 r. agresywną politykę Hitlera.

Temat sudecki pojawił się w tegorocznej kampanii prezydenckiej. Podczas telewizyjnej debaty 17 stycznia zapytany przez socjalistę Miloša Zemana o swój stosunek do tej sprawy, jego rywal – prawicowy „Europejczyk” Karel Schwarzenberg – stwierdził, że z dzisiejszego punktu widzenia dekrety Benesza traktować należy jako akt naruszenia praw człowieka, a prezydent Benes stanąłby dziś przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze.

rodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze.

Czesi źle przyjęli tę wypowiedź i zapewne to przez nią Schwarzenbergowi zabrakło do zwycięstwa decydujących kilku procent. Mówienie, że dziś Europa nie zaakceptowałaby dekretów Benesza, nie ma sensu. Dekretów tych nie można oddzielić od dramatycznych czasów, kiedy je wydano. Weszły one w życie tuż po wojnie, kiedy Czesi mieli jak najgorsze doświadczenia związane z kryzysem monachijskim i wojennym współżyciem z Niemcami. Klaus – chociaż jest wolnorynkowcem – w kwestii obrony dekretów Benesza od lat ma to samo zdanie co Zeman. Zbierał za to ciągi od niemieckiej prasy, posuwającej się do nazywania go „pomyleńcem z Pragi”. Ten arogancki styl w stosunku do Klausy przyjął też w czasie wizyty na Hradczanach Daniel Cohn-Bendit jako przedstawiciel Parlamentu Europejskiego. Takie demonstracje agresji nie robiły jednak i nadal nie robią na Klausie żadnego wrażenia.

Od czasu objęcia funkcji prezydenta w 2003 r. mówił, co myśli, nie dając się sparaliżować politycznej poprawności. Krytykował teorie o globalnym ociepleniu, rozróżniał zjawisko homoseksualizmu od upolitycznionej ideologii homoseksualnej, ostrzegał też przed pomysłami, zamiany UE w utopijne superpaństwo. Co na koniec 10-letniej prezydentury ma do powiedzenia ktoś, kto zawsze przestrzegał, że intelektualne ukaśnienie marksistowskie nie umarło wraz z odejściem komunizmu?

PIOTR SEMKA: Po dwóch kadencjach opuszcza pan urząd prezydenta. Co uważa pan za największe osiągnięcie?

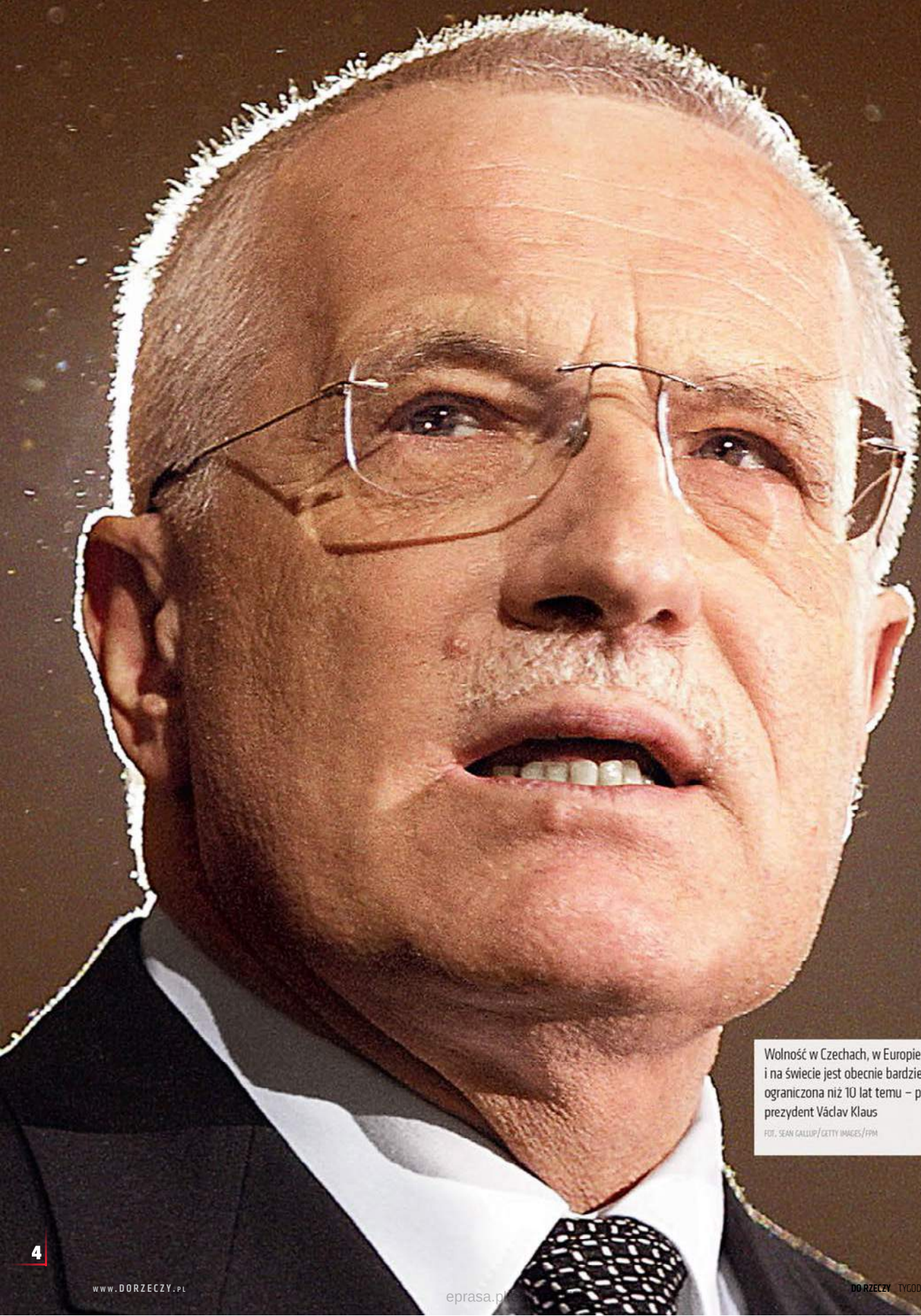
PREZYDENT VÁCLAV KLAUS:

W roku 2003 nie zostawałem prezydentem w jakimś przełomowym dla kraju momencie – w odróżnieniu od grudnia 1989 r., gdy obejmowałem tekę ministra finansów, czy lipca 1992 r., gdy zostałem premierem Czechosłowacji. Wtedy chodziło o budowę fundamentów nowego państwa, obecnie chodzi „tylko” o bieżące funkcjonowanie kraju, osłabione jeszcze przez nasze członkostwo w UE, które znacznie obniża możliwości państwa w podejmowaniu autonomicznych decyzji.

Przez całe życie staram się – to konsekwencja wielu lat życia w komunizmie – walczyć o wolne społeczeństwo, a w czasie swojej prezydentury poświęcałem temu celowi maksimum uwagi. Żadnego wielkiego sukcesu na tym polu nie mogę sobie jednak przypisać. Wolność w roku 2013 jest u nas, w Europie i na świecie bardziej ograniczona niż w 2003 r. Kwestię tę staram się szczegółowo omówić w swej książce „My, Europa i świat”, która zostanie opublikowana pod koniec lutego.

Jak ocenia pan obecny stan Europy i UE?

Niestety, zbyt wielu powodów do optymizmu nie ma. O ograniczaniu wolności już wspominałem, niepowodzenie w rozwoju gospodarczym Europy widzi chyba każdy. Wzrosło znaczenie politycznej poprawności. Coraz większą



Wolność w Czechach, w Europie i na świecie jest obecnie bardziej ograniczona niż 10 lat temu – przekonuje prezydent Václav Klaus

FOT. SEAN CALLUP / GETTY IMAGES / IFM

■ władzę nad nami, obywatelami, zdobywają media. Rynek jest coraz bardziej osłabiany przez działania etatystyczne.

Bezsensowna doktryna obwiniająca ludzkość o globalne ocieplenie mimo wszelkiej krytyki wciąż dominuje na świecie (choć mam nadzieję, że doszła już do zenitu).

Transnacionalistyczne ambicje osłabiają kraje narodowe i prowadzą do przenoszenia władzy decyzyjnej z polityków wybieranych i podlegających kontroli społecznej na ponadnarodowe instytucje, które działają w całkowitej pustce, tzn. bez kontaktu z obywatelami. Nasze grono – osób, które się temu sprzeciwiają – nie jest liczne.

Jaką pozycję w Unii powinny zajmować takie kraje jak Polska czy Czechy? Jak wśród wielkich unijnych graczy mogą walczyć o swoją podmiotowość?

Podmiotem już dawno nie jesteśmy, nie starajmy sobie tego wmówić. Mamy słabą pozycję. Polska jest silniejsza, bo jest większa, a Polacy działają bardziej zgodnie niż my, choć wam może się wydawać, że jest inaczej.

Przyjęcie traktatu lizbońskiego przyniosło Europie niebagatelną zmianę. Właśnie ten traktat znacząco wzmocnił – używając pańskiego sformułowania – pozycję „wielkich unijnych graczy”. Byłem tego świadom i dlatego chyba najmocniej ze wszystkich ważniejszych europejskich polityków walczyłem przeciw niemu.

W połowie stycznia na konferencji w Wiedniu słuchałem wystąpienia Jerzego Buzka. Na pytanie, jaka największa zmiana zaszła w Europie w ostatnich latach, odpowiedział, nie ukrywając satysfakcji: „Mamy swojego europejskiego prezydenta Van Rompuy’a, czyli swojego Obamę. Rola poszczególnych państw zmalała. Widać to, obserwując malejącą rolę kraju sprawującego prezydenturę”. Nie jest to może dokładny cytat, ale streszczenie oddające sens jego odpowiedzi. Czy Polska chce mieć tak ograniczoną pozycję? Ja takiej roli dla Republiki Czeskiej nie chcę.

Czym – pod względem filozofii myślenia o państwie – różniła się pana kadencja od rządów prezydenta Václava Havla?

Václav Havel (i jego specyficzna ideologia, dla której nie mam lepszego określenia niż hawlizm) to był całkowicie inny świat. Rynek określał mianem „targowiska”. Zamiast demokracji pragnął elitarnej postdemokracji, zamiast konserwatyzmu i tradycyjnych wartości propagował modernistyczne burzenie istniejącego ładu. Była to raczej pochodna francuskiego jakobinizmu niż brytyjskie konserwatywne pryncypia klasycznego liberalizmu. Była to ideologia skrajnie lewicowa. Nie jest to

Na szczycie UE-Azja polski premier był o wiele bardziej zagorzałym obrońcą euro niż którykolwiek z prezydentów lub premierów krajów, które euro już dawno przyjęły

poważna analiza rządów Havla, lecz tylko zarys zasadniczych różnic między nami.

Może warto jeszcze wspomnieć o jego kosmopolityzmie w porównaniu z moją wiarą w państwo, w którym żyjemy. A także o inwazyjnym interwencjonizmie w polityce zagranicznej (i humanitarnym bombardowaniu) zamiast poszanowania dla któregoś państwa na świecie.

Ale to już zaczyna być bardziej zarys dłuższej rozprawy na ten – stale jeszcze lub raczej znowu – kluczowy dla naszego kraju temat niż odpowiedź na pańskie pytanie. Sądzę, że również Polacy dobrze to rozumieją.

Mija 20 lat od podjęcia przez pana i Vladimira Mečiara decyzji o podziale Czechosłowacji. Dziś zdecydowałby pan tak samo?

Jednoznacznie tak. Co więcej, nie była to moja decyzja. Moją rolą była realizacja decyzji, którą de facto podjęła Słowacja. Słowacy chcieli mieć swoje własne państwo. Uszanowałem to i nie starałem się im tego wyperswadować. Podkreślałem jednak plusesy większego wspólnego organizmu. Właśnie przygotowuję wystąpienie na konferencję Czeskiego Banku Narodowego z okazji 20. rocznicy podziału czechosłowackiej korony na dwie samodzielne waluty. Dzięki temu znowu przypomniałem sobie i zgromadziłem różne argumenty na temat:

– dlaczego podział był niezbędny?

– jakim pozytywnym był fakt, iż podziału kraju i waluty dokonaliśmy w sposób zaplanowany, zorganizowany, a przede wszystkim przyjacielski, z pełnym poszanowaniem dla ambicji drugiej połowy naszego pierwotnego wspólnego państwa?

– dlaczego nasz spokojny podział waluty w lutym 1993 r. jest przykładem dla dzisiejszej Europy, która podobnych i nie mniej potrzebnych działań straszliwie się boi (a może udaje, że się boi)?

Ja sam z podziału Czechosłowacji, którego nie chciałem, wyciągnąłem wniosek, że bojaźliwe utrzymywanie za wszelką cenę status quo do niczego nie prowadzi.

Jako prezydent zmienił pan pogląd na Polskę?

W pewnym stopniu tak. Lepiej ją poznałem, choć już od upadku komunizmu bywałem w Polsce najczęściej spośród wszystkich krajów świata. Kiedyś, w roku 1957 – a może to był rok 1958? – rozgry-

wałem w Krakowie mecz koszykówki jako juniorski reprezentant Czechosłowacji. Potem jeździłem do Polski jako ekonomista, najpierw jako pracownik naukowy Czechosłowackiej Akademii Nauk. Nigdy jednak nie byłem w waszym kraju na wycieczce czy urlopie. Choć kiedyś – w związku z udziałem w konferencji ekonometrycznej w Sopocie w czasach „Solidarności” – musiałem wziąć urlop w banku, który mnie oczywiście na tę konferencję nie wysłał.

Polskę szanuję. Uważam ją za „zdrowy” kraj, który – w przeciwieństwie do mojej ojczyzny – szanuje sam siebie. Niedawne wybory prezydenta Republiki Czeskiej przyniosły w tym kontekście pewną nadzieję, choć bezpośrednie wybory prezydenta (i sposób medialnych manipulacji) wyraźnie podzieliły kraj.

Bardzo sobie ceniłem wyjątkową przyjaźń z prezydentem Kaczyńskim. Brak mi go, choć się cieszę, że udało mi się nawiązać pozytywne stosunki również z jego następcą, prezydentem Komorowskim.

Niektórzy Polacy nie rozumieją pańskiej otwartości w stosunku do Rosji? Nie dostrzega pan odrotu od demokracji w Federacji Rosyjskiej?

Pańskie pytanie zmusza mnie do lekkiego uśmiechu. Rosja chyba zawsze w swej tysiącletniej historii była „odchylona” od demokracji i dopiero teraz ciężko, niemrawo, niespójnie, nie w sposób ciągły, się do niej zbliża.

To, że demokracja w Rosji jest dziś na innym poziomie niż w Republice Czeskiej czy w Polsce, nie podlega dyskusji i z pewnością by się nam nie podobało, gdybyśmy mieli taką demokrację w naszych krajach. Jednak stwierdzenie, że w Rosji kiedyś – w latach 90. – panowała demokracja, a teraz kraj ten się od niej odchyła, uważam za całkowite niezrozumienie dzisiejszej rosyjskiej rzeczywistości.

Dzieje Polski w kontekście Rosji były o wiele bardziej tragiczne niż czeskie. Mamy tego świadomość.

Na szczęście nie graniczymy też bezpośrednio z Rosją czy krajami powstałymi po rozpadzie byłego Związku Radzieckiego i dlatego pewne kwestie postrzegamy inaczej.

Przed wszystkim sądzę zaś, że „otwarte” podejście do czegośkolwiek, do takiego czy innego kraju, jest lepsze niż podejście „nieotwarte”, apriorystyczne, fundamentalistyczne, obarczone uprzedzeniami.

Dla mnie Rosja to wielki, ważny kraj, z którym trzeba się liczyć. Lubię jego przedradziecką kulturę, w szczególności literaturę. Zawsze z uwagą śledziłem także książki krytyków reżimu sowieckiego. Jestem świadom ogromu cierpienia, które

Rosjanie przeżyli w ubiegłym wieku przez komunizm. Nic więcej, nic mniej.

Dziś w przypadku Republiki Czeskiej dostrzegam inne zagrożenia niż Rosja. Rosja obecnie nie wpływa na moje życie. O wiele bardziej wpływa na nie Unia Europejska.

W czasie kampanii prezydenckiej pojawiły się opinie, że na powojenne dekrety Benesa trzeba spojrzeć jako na łamanie praw człowieka. Czy powojennych wysiedleń można było uniknąć?

Tak zwane dekrety Benesa, przyjęte później przez czechosłowacki parlament (kiedy po zakończeniu okupacji mógł się wreszcie zgromadzić) jako standardowe normy prawne, były częścią tragicznego

jest autentycznym Czechem. Również jego pierwszy wywiad po wyborach („Právo”, 28 stycznia 2013 r.) pokazał, że nie chodziło o jakieś przejęzyczenie.

Wczuć się w myśli Czechów (czy też Polaków) w czasach tuż po zakończeniu II wojny światowej nie potrafi nikt z nas. Ja również tego nie umiem. Ani w tej kwestii, ani w jakiegokolwiek innej nie próbujemy zatem zmieniać historii, poprawiać jej czy kształtować na nowo.

Winnych II wojny światowej i milionów jej ofiar znamy. Nie odczuwam potrzeby, by dziś to w jakiś nowatorski sposób rozgrzebywać. Obecnie politycznie poprawne poglądy na realizowane w przeszłości

Czy przyjmowanie euro ma jeszcze sens?

Wspólna waluta europejska w sposób oczywisty się nie sprawdziła, a jej przyjęcia nie polecałbym obecnie nikomu.

Wyda mi się jednak, że do uczynienia tego kroku blisko dzisiejszemu polskiemu rządowi Tuska. Na listopadowym szczycie EU-Azja w Laosie polski premier był o wiele bardziej zagorzałym obrońcą euro niż którykolwiek z prezydentów lub premierów krajów, które euro już dawno przyjęły.

Wywołało to mój uśmiech, kiedy pomyślałem, dlaczego zatem nie wprowadził już euro w swoim kraju. A może była to tylko próba przypodobania się – jak pan mówi – „dużym unijnym graczom”?

Czy dawny liberalizm został w Europie przejęty przez lewicę? Co to słowo dziś jeszcze znaczy?

Dla mnie „współczesny” liberalizm nie jest liberalizmem w tym sensie, w jakim ja rozumiem to słowo. Jest przeciwieństwem klasycznego liberalizmu, który wyznaję. Dzisiejszy liberalizm w wersji obamowskiej jest postmodernistyczną, antydemokratyczną, antyliberalną ideologią, której ulega coraz większa część zachodniego świata.

Ta ideologia ewidentnie powinna leżeć po lewej stronie spektrum politycznego, lecz niestety nie ma przeciwnika. Prawica jest dzisiaj bardzo osłabiona. W Europie prawie jej nie ma. Mam nadzieję, że w Polsce wciąż jeszcze istnieje.

Widzi pan dziś jakąś rolę dla dumy i tradycji narodowej?

Wprawdzie współcześni globaliści sobie tego nie życzą, ale naszym podstawowym zadaniem jest odpieranie ataków na dumę narodową i tradycję narodową. Byłem bardzo pozytywnie zaskoczony faktem, iż Czesi w wyborach prezydenckich również się tym kierowali.

W odróżnieniu od Polski w Czechach już się tego prawie nie spodziewałem. Okazuje się jednak, iż mimo ogromnej presji mediów ludzie nie zatracili własnego rozumu. To nadzieja na przyszłość.

Wybory prezydenckie w Czechach wygrał Miloš Zeman. Jaką radę ma pan dla swego następcy?

Żadnych rad nie udzielam i udzielać nie będę. Miloš Zeman zawsze stał i dziś również stoi po innej stronie ideologicznej barykady niż ja (w odróżnieniu od jego kontrkandydata, który nie stoi po żadnej stronie).

Jestem przekonany, że ze swojej roli wywiąże się dobrze i że ma on świadomość ogromnej wartości, jaką dla nas, Czechów, jest i będzie czeskie państwo. •



kontekstu II wojny światowej. Nie były wyizolowanym działaniem. Były reakcją na to, co się stało przedtem. Były wyrazem ówczesnej rzeczywistości, ówczesnych odczuć ludzi. Nie tylko prezydenta Benesa.

Dekrety dotyczące wysiedlenia Niemców z terytorium Czechosłowacji zaakceptowały w Poczdamie również zwycięskie mocarstwa II wojny światowej. Są one integralną częścią naszego systemu prawnego, choć nie wynikają z nich nowe działania w czasach obecnych. Dla nas są jednak gwarancją, że obecne status quo nie jest zagrożone. Polacy podzielają naszą postawę.

Podważanie dekretów Benesa podczas kampanii prezydenckiej przez jednego z kandydatów (Karela Schwarzenberga – przyp. red.) uważam za skandal, którego nie da się niczym usprawiedliwić. Jasno tym sposobem zademonstrował, że nie

wysiedlenia, prezentowane przez jakiegokolwiek środowiska wewnątrz Europy, są nie tylko bezwartościowe, ale ze względu na swoje zamiary także niebezpieczne. Miejmy nadzieję, że już nigdy nie będziemy musieli w Europie zajmować się konsekwencjami jakiegokolwiek wojny.

Jak przyjął pan niedawne ostrzeżenia premiera Wielkiej Brytanii Davida Camerona przed europejskim superpaństwem?

Przed europejskim superpaństwem ostrzegałem – bardziej radykalnie niż David Cameron – już wiele lat temu. W tym kontekście z jego przemówienia nie dowiedziałem się niczego nowego. Może jednak lepiej zrozumiałem pewnego rodzaju rozdwojenie czy też rozbieżności w jego twierdzeniach. Jeżeli chodzi o moje stanowisko, to odsyłam do ostatnio wydanej publikacji „Integracja europejska bez iluzji”.



Zdzisław Krasnodębski

Angela Merkel do perfekcji opanowała sztukę unikania decyzji. Dzięki tej taktyce dominacja Niemiec w Europie nie budzi wielkich emocji

UNIA EUROPEJSKA

Niemieckie centrum Europy

Zapatrzeni w worek z miliardami euro, który Donald Tusk przywiózł z Brukseli, odnosząc podobno największy sukces swojego życia, a przedtem nękanie domysłami, ile się w owym worku znajdzie pieniędzy, Polacy małą wagę przywiązują do głębokiej zmiany „geografii politycznej” w Europie – jak to się mówi i pisze eufemistycznie, by uniknąć słowa „geopolityka”. Redaktorzy raportu, sporządzonego przez „paneuropejski” think tank European Council on Foreign Relations Nicholas Walton and Jan Zielonka, twierdzą, że nastąpiło zmniejszenie znaczenia politycznych instytucji europejskich: „Najważniejsze decyzje w ciągu ostatnich dwóch lat zostały podjęte z małym wkładem Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego. Wprawdzie Rada Europejska i jej prezydent są bardziej obecne w korytarzach władzy, ale głównie w roli posłańca przekazującego wieści z jednej stolicy europejskiej do drugiej. W rzeczywistości Centralny Bank Europejski, a nawet Międzynarodowy Fundusz Walutowy są bardziej wpływowe od każdej instytucji w Brukseli”. Inna, jeszcze ważniejsza zmiana w politycznej geografii Europy polega na tym, że wyraźniejszy stał się podział na centrum i peryferie.

Nikt przy tym nie wątpi, że sam rdzeń tego centrum znajduje się w Berlinie. To stamtąd płyną najważniejsze wieści, które przekazują owi posłańcy.

Niemcy nie są już tylko niekwestionowanym liderem Europy. Pod rządami Gerharda Schrödera pojawiali się także jako mocarstwo na arenie światowej, w czasie kanclerstwa Merkel umocnili i utwierdzili tę pozycję. Nie przypadkiem Angela Merkel regularnie zajmuje czołowe miejsca w rankingach najbardziej wpływowych ludzi na świecie. Czasopismo „Foreign Policy” umieściło ją w styczniu na czwartym miejscu – po Władimirze Putinie i Benie Bernanke, a przed Barackiem Obamą.

Niemcy stały się – jak to określił politolog Hans Kundnani w znanym artykule opublikowanym w 2011 r. w „The Washington Quarterly” – „potęgą geoeconomiczną”, co jego zdaniem zastępuje ich dawną tożsamość jako mocarstwa cywilnego (civilian power, Zivilmacht). Zmiana polega na odejściu od multilateralizmu, mocniejszym podkreśleniu własnych interesów, przede wszystkim gospodarczych, na zmniejszeniu znaczenia, jakie teraz dla Niemiec mają organizacje ponadnarodowe, np. NATO czy Unia Europejska: „Niemcy nie tylko w większym stopniu definiują swoje narodowe interesy w kategoriach ekonomicznych, ale

także w coraz większym stopniu używają swej gospodarczej siły, aby narzucić innym swoje preferencje”.

Trudno nie dostrzec, że nastąpiło wyraźne ochłodzenie stosunku Niemiec i Niemców do Europy. Dotyczy to elit politycznych i gospodarczych, ale chyba w jeszcze większym stopniu społeczeństwa, co pokazują badania opinii publicznej. Wielu Niemców, mimo zmasowanej krytyki niemieckich mediów, z nieskrywaną aprobatą przyjęło krytyczne wystąpienie Davida Camerona, domagającego się ograniczenia kompetencji Brukseli i zmniejszenia eurobudżetu.

Chłodny stosunek do Europy zarzuca się także samej kanclerz Merkel. Jacques Attali, kiedyś doradca François Mitterranda, w styczniowym wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” tłumaczył to jej biografią – przynależnością pokoleniową oraz tożsamością regionalno-narodową: „Dzisiejsi przywódcy polityczni nie przeżywali sami wojny. I nie uczestniczyli w programie wymiany studentów Erasmus. Dla nich Europa nie jest niekwestionowaną koniecznością. Znajdujemy się obecnie w niebezpiecznej fazie. Europa nie jest rządzona przez Europejczyków. Angela Merkel jest w gruncie rzeczy Prusaką, a dla Prus Europa nigdy się tak naprawdę nie liczyła. Wreszcie jednak pojęła, że Niemcy bez

FOT. GONCALO SUM / REMIX / CORBIS



Europy załamałyby się". I wspomina, jak bardzo Mitterrand obawiał się momentu, kiedy władzę w Niemczech przejmie ktoś z Prus. Ta epoka teraz nadeszła.

Rzeczywiście, Merkel nie mówi o Europie z takim emocjonalnym zaangażowaniem jak Helmut Kohl. Znany lewicowy socjolog lubiący chwytliwe hasła, Ulrich Beck, opisuje jej metodę sprawowania władzy w Europie jako „merkliawelizm”. Polega on na niepodejmowaniu działań, kunktatorstwie, wyczekiwaniu, ociąganiu się, unikaniu zajmowania zdecydowanego stanowiska. „Zwłoka jako taktyka poskramiania – oto metoda Merkliawellego” – pisze Beck. Jego zdaniem Merkel lawiruje między tymi, którzy chcą wzmocnienia państwa narodowego i bronią jego prerogatyw, oraz zwolennikami ściślejszej integracji europejskiej. Raz broni interesów niemieckich podatników, innym razem prezentuje się jako zwolenniczka „Euro-py” – ale Europy, która stosuje się do reguł niemieckiej polityki gospodarczej.

Zarzuca się jej brak wizji w polityce europejskiej. Zgodnie z powszechną opinią to dzięki decyzjom szefa Centralnego Banku Europejskiego Mario Dragiego udało się, przynajmniej na razie, powstrzymać kryzys finansowy. Merkel ostatecznie tylko zaakceptowała jego posunięcia – przede wszyst-

kim wykupywanie papierów dłużnych państw pogrążonych w kryzysie – którym początkowo ostro się sprzeciwiała.

Ten kunktatorski sposób działania sprawia, że jej popularność w Niemczech rośnie. Jej postawa bardziej koresponduje z nastrojami Niemców niż coraz bardziej anachroniczny euroentuzjazm intelektualistów takich jak Beck czy Habermas.

Niemcy czują się bowiem wykorzystywani przez kraje, które popadły w nadmierne zadłużenie, i z oporem przyjmowali decyzje o pomocy finansowej. „Europa” nie jest też już im niezbędna ze względów tożsamościowych, od kiedy zostało zdjęte z nich – przynajmniej w ich przekonaniu – odium hitlerowskiej przeszłości. Nie muszą już chować swojej narodowej tożsamości za europejską. I wprawdzie znowu odzywają się głosy, że bez Unii grozi Europie wojna, lęk przed wojną nie jest już jednak tak silny jak w pokoleniach, które urodziły się w jej cieniu. Niemcy nauczyli się też cenić swoją republikę. Jak ubolewa Habermas, Niemcy „ponownie odkryli wartość własnego państwa narodowego”.

Mimo tego „odkrycia” Unia pozostaje najważniejszym projektem politycznym Niemiec, ale już nie jako superpaństwo, w które miałyby się bez reszty wtopić Republika Federalna. Nawet niemiecki

przewodniczący Parlamentu Europejskiego Martin Schulz dystansuje się od idei Stanów Zjednoczonych Europy i nawet Zieloni mówią teraz chętniej o sieciowej Europie państw, a nie Europie jako superpaństwie. Stary Kontynent jest polem oddziaływania Niemiec, ich głównym instrumentem wpływania na politykę globalną, zgodnie z krytykowanym przez Habermasa wyobrażeniem o „europejskich Niemczech w ukształtowanej przez Niemcy Europie”. Już nie jest niczym politycznie niepoprawnym wskazywanie na Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego jako na polityczny model dla dzisiejszej Europy, jak to uczynił „The Economist” w swym bożonarodzeniowym wydaniu. Autor tego artykułu także nie omieszczał wspomnieć, że to niekontrolowana przez cesarstwo siła Prus doprowadziła do jego upadku.

Władza Niemiec w Unii jest wielka, choć nieformalna. Wyrażna stała się hierarchia, gradacja suwerenności krajów europejskich. Małe kraje, jeśli chcą zyskać wpływ w Unii, starają się przyłączyć do niemieckiej polityki. By być skuteczne, muszą pokazać, że są proeuropejskie, bo tylko wtedy mogą liczyć na to, że Niemcy uwzględnią ich postulaty. Donald Tusk, znany z umiejętności adaptacji do otoczenia, szybko zrozumiał tę zasadę. To dlatego nie musiał

■ odzywać się w czasie negocjacji budżetowych, w których odniósł ów życiowy sukces. Gorzej jest w sytuacjach, gdy pojawiają się sprzeczności interesów.

Mimo to – jak twierdzą krytycy – ciągle jednak brakuje Niemcom woli politycznej, by rzeczywiście przejąć przywództwo. Amerykańska dominacja nie byłaby możliwa bez głębokiego przekonania Amerykanów, że są krajem wybranym, niosącym innym wolność i dobrobyt. Dzisiejszym Niemcom ciągle brak jest politycznej idei, mobilizującej do bardziej stanowczych działań. W pewnym sensie przyrost władzy w ostatnich latach był dla nich zaskoczeniem. Niemcy stały się „accidental empire” (określenie z „The Guardian”) – imperium powstałym mimo woli.

Dzisiaj już o wiele łatwiej jest dojechać ze Szczecina do Hamburga czy Bremy niż do Warszawy. Polskie ziemie zachodnie będą coraz bardziej ciężać ku temu centrum. Powoli toruje sobie drogę przekonanie o konieczności wspólnego polsko-niemieckiego zarządzania tym regionem, o czym świadczy niedawne posiedzenie berlińskiej SPD w Kołobrzegu, w czasie którego debatowała ona nad rozwojem infrastruktury Pomorza, Dolnego Śląska i Wielkopolski.

Przeciętny Niemiec nie popada w euforię z powodu „geoekonomicznej mocarstwowości”. Gospodarka ciągle się rozwija, eksport bije rekordy, rosną zarobki, bezrobocie jest niskie, szczególnie wśród młodych ludzi, kasy chorych notują miliardowe nadwyżki i zwracają część składek, rodziny

cesy i skandale. Nawet fakt, że prezydenci Köhler i Wulff musieli ustąpić z urzędu, nie naruszył zaufania obywateli do systemu politycznego Republiki Federalnej, podobnie jak afery plagiatowe czy ostatnia gorąca debata na temat „seksizmu”, wywołana przez dziennikarkę „Sterna”, która przypomniła sobie po roku o obcesowym komplemencie czołowego polityka FDP Rainera Brüderlego. Pokomunistyczna lewica pozostaje izolowana, a problem komunistycznej przeszłości został już rozwiązany. Jeszcze tylko przeszłość Gregora Gysiiego budzi uzasadnione emocje.

Mimo osobistej popularności Angeli Merkel rządząca koalicja CDU i FDP nie cieszy się dobrą opinią, choć CDU/CSU prowadzi w sondażach. Na szczęście dla chrześcijańskich demokratów SPD wybrała fatalnego kandydata na kanclerza Petera Steinbrücka, byłego ministra finansów, którego dodatkowe zarobki za wykłady, opłacane honorariami w wysokości dziesiątków tysięcy euro, pozwalają powątpiewać w szczerość jego „socjalnego” nastawienia. Wynik niedawnych wyborów w Dolnej Saksonii można potraktować jako ostrzeżenie. Niespodziewanie CDU, rządząca tam wraz z FDP, straciła władzę, a typowany na następcę Merkel David McAllister musiał ustąpić ze stanowiska premiera. FDP uzyskała bardzo dobry rezultat, najlepszy w historii, ale kosztem CDU, i w sumie nie wystarczyło głosów, by utrzymać większość.

Zapewne Angela Merkel pozostanie jednak kanclerzem po jesiennych wyborach, choć nie można wykluczyć, że zmieni się koalicjant. Nie będzie to oznaczało wielkich zmian w polityce zagranicznej. SPD jest jednak bardziej prorosyjska, można więc oczekiwać, że poprawią się nie najlepsze ostatnio stosunki z Moskwą. Ta ciągłość i konsekwencja w niemieckiej polityce zagranicznej oraz wewnętrznej jest jednym ze źródeł sukcesu Republiki Federalnej.

Trzeba jednak zauważyć, że mimo tych wszystkich sukcesów najważniejsze problemy Niemiec i Europy pozostają nierozwiązane i to one ostatecznie zadecydują o przyszłości. Chodzi przede wszystkim o głęboki kryzys demograficzny. Mimo coraz energiczniejszej polityki prorodzinnej nie udało się dotąd odwrócić negatywnego trendu – choć liczba ludności Niemiec wzrasta dzięki zwiększonej imigracji, między innymi z Polski. Nierozwiązany pozostaje także strukturalny problem Europy: fakt, że członkostwo w Unii, ze wszystkimi dotacjami i funduszami nie zmniejszyły dystansu między bogatymi i biednymi krajami, że rośnie napięcie między centrum i peryferiami Europy. Te problemy mogą sprawić, że także tym razem dominacja Niemiec w Europie może okazać się tylko epizodem. *



Ulrich Beck opisuje metodę sprawowania władzy w Europie przez Angelę Merkel jako „merkliawizm” – kunktatorstwo, wyczekiwanie, unikanie zajmowania zdecydowanego stanowiska. FOT. CORBIS

Spokojny styl Merkel sprawił, że przywództwo Niemiec jest łatwiejsze do zaakceptowania przez innych niż za Schrödera, preferującego styl „macho”. Mimo to jest ona nienawidzona w Grecji, Portugalii czy we Włoszech. Merkel nie ma jednak jednego poważnego problemu, z którym zmagał się Schröder – krnąbrnej Polski. Wszystkie sporne sprawy Centrum przeciw Wypędzeniom, Nord Stream, uznanie polskiej mniejszości zostały pomyślnie rozwiązane – zgodnie z interesami Berlina. Od kwietnia 2010 r. w „nowej Europie” nie ma już liczącego się ośrodka politycznego, prowadzącego samodzielną politykę w ramach całego regionu. Warto dodać, że nowa „geografia polityczna” Europy to także nowe powiązania gospodarcze, komunikacyjne i kulturowe, które zbliżają utracone po II wojnie światowej prowincje do Berlina.

dostają coraz większe wsparcie itd. Nie znaczy to jednak, że nastroje wśród ludności są dobre. Reformy podnoszące konkurencyjność niemieckiej gospodarki sprawiły, że wielu Niemcom żyje się gorzej. Rosną różnice społeczne. Republika Federalna nie jest już dawną egalitarną republiką bońską społecznego solidaryzmu, w której można było studiować bezpłatnie tak długo, jak długo chciało się „rozwijać swoją osobowość”, w której emerytura oznaczała życie w spokoju i dostatku.

Społeczeństwo niemieckie pozostaje jednak zdyscyplinowane, pracowite, bardzo jednolite w swoich opiniach i odczuciach, także względnie dobrze wykształcone. Klasa polityczna wyróżnia się w Europie rzeczowością i solidnością. Nie ma tutaj postaci w rodzaju Janusza Palikota czy Joanny Senyszyn, rzadko zdarzają się eks-



Kadr z filmu „Pasja” Mela Gibsona FOT. MAT. PRASOWE

WIARA

Krew Jego na nas...

Kto zabił Jezusa. Prawda i interpretacje



PAWEŁ LISICKI

Kiedy w filmie Mela Gibsona „Pasja” tłum zgromadzony przed pretorium woła po aramejsku: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze”, widz się o tym nie dowiaduje. Słowa te nie zostały, inaczej niż w przypadku wszystkich pozostałych dialogów, przetłumaczone. Dlaczego? Przez wieki bywały przywoływane jako dowód przekleństwa ciążyącego na narodzie żydowskim, jako zachęta do prześladowań lub ich usprawiedliwienie. Również współcześnie ich znaczenie wywołuje ostre spory wśród egzegetów.

Według Mateusza słowa te są reakcją na zachowanie Piłata, który wobec wszystkich umył ręce i ogłosił, że nie jest winny tej krwi. „Cały lud jednak zawołał: »Krew Jego na nas i na dzieci nasze!«” (Mt 27, 25). Wielu chrześcijan marzyłoby zapewne, żeby one

nigdy nie padły. Podobnie jak Géza Vermes, profesor z Oxfordu, rozumieli oni bowiem te słowa jako samoprzekleństwo. „Mateusz chciałby, oprócz tego, że próbuje usprawiedliwić Rzym, obciążyć odpowiedzialnością za mord na Jezusie w pewien sposób wszystkich Żydów współczesnych mu i żyjących w przyszłości” – pisał ten uczyony. A jednak, niezależnie od pytania o ich późniejsze niegodziwe wykorzystywanie, trzeba zastanowić się nad ich znaczeniem i autentycznością.

Benedykt XVI pisze: „Mateusz nie podaje tu z pewnością faktu historycznego. Jak w tym momencie mógłby tam być obecny cały lud i domagać się śmierci Jezusa?”. To słuszne spostrzeżenie, chociaż abstrahuje od języka starożytnych historyków, którzy często posługiwali się podmiotem zbioro-

wym, chcąc wyrazić poparcie większości dla pewnych działań. Często robi to Józef Flawiusz. Papież powołuje się dalej na katolickiego teologa Joachima Gnilkę i przyjmuje, że słowa te powstały już po wojnie żydowsko-rzymskiej, kiedy ludowi zabrano kraj, miasto i świątynię.

To jednak wątpliwe, nie ma bowiem dowodów na to, że w słowach tych zawiera się faktycznie potępienie Izraela. Z pewnością po roku 70 mogły być one tak odczytywane, z czego jednak nie wynika, że powstały dopiero wtedy, podobnie jak nie wynika, że z taką intencją je zapisano. Papież stwierdził: „Jeśli według Mateusza »cały lud« wołał: »Krew Jego na nas i na dzieci nasze« (27, 25), to chrześcijanin powinien pamiętać, że krew Jezusa mówi innym językiem niż krew Abła (zob. Hbr 12, 24). Nie woła

o pomstę i karę, ale jest pojednaniem". Ojciec Święty podaje, jak jego zdaniem należy rozumieć słowa Mateusza o krwi. Znaczą one, że „my wszyscy potrzebujemy oczyszczającej mocy miłości, którą jest Jego krew. Jest ona nie przekleństwem, lecz odkupieniem i zbawieniem” (s. 202). Papież przechodzi zatem od pytania historycznego – kogo miał na myśli Mateusz, mówiąc o całym ludzie, oraz jakie znaczenie miały słowa owego ludu – do pytania teologicznego: jak winni je rozumieć chrześcijanie w świetle wiary. Co do tego drugiego wyjaśnienia trudno mieć wątpliwości. Głos papieża wskazuje jasno duchowy sens przelania krwi. Niemniej nie rozstrzyga to kwestii historycznej.

SAMOPRZEKLEŃSTWO?

Według wybitnego amerykańskiego egzegety Roberta H. Steina słowa te zawierały samoprzekleństwo. Stein pisał: „Samoprzekleństwo »Krew Jego na nas i na dzieci nasze« (Mt 27, 25) powinno być rozumiane zgodnie z tym, czym było – jako niemądre i głupie stwierdzenie kilku Żydów podpuszczonych przez arcykapłanów. Chociaż niewiara Izraela miała poważne konsekwencje (Mt 21, 41; Dz 13, 46; Rz 11, 11), to samo głupie przekleństwo w żaden sposób nie może służyć jako usprawiedliwienie dla antysemityzmu. I znowu trudno się z tym nie zgodzić. Tylko dlaczego Stein, podobnie jak Gnillka, a za nim Benedykt XVI, przyjmują, że słowa te wyrażały samoprzekleństwo?

Trzeba zadać dwa pytania. Pierwsze: co dokładnie znaczyły słowa wykrzykane przed pretorium? Drugie: co miał na myśli Mateusz, używając określenia „cały lud”?

„Krew jego na nas i na dzieci nasze!» – zawołał tłum. To wołanie jest dla nas szokujące – do tego stopnia, że wolelibyśmy w nim widzieć apokryf dodany w późniejszym czasie lub też wynaleziony w celu zniesławienia mieszkańców Jerozolimy. Strzeżmy się jednak popełnienia anachronizmu. W rzeczywistości w pierwszym stuleciu słowa te były tylko formułą stanowiącą jeden z elementów procedury sądowej (Miszna, „Sanhedrin” 4.5), przewidzianą w czasie posiedzenia sądowego kończącego się wyrokiem śmierci (J. Genot-Bismuth). Jej sens był następujący: »Nie jesteśmy fałszywymi świadkami i bierzemy odpowiedzialność za rolę, którą pełniliśmy w tym procesie, ponieważ jego wyrok nie będzie niesprawiedliwy« – pisali trafnie francuscy autorzy Victor Loupian i Alain Noël.

Niezależnie od tego, jak potem można było rozumieć ten krzyk, w kontekście, czyli jako odpowiedź na zachowanie Piłata, oznacza on po prostu wzięcie odpowiedzialności przez obecnych. W żadnym wypadku nie jest to samoprzekleństwo, nie jest to

też uznanie winy Izraela. Jest to typowe zachowanie świadków na rozprawie, kiedy uważają, że podsądny słusznie ma ponieść karę. Tłum przed pretorium wie, że Jezus jest bluźniercą, krzyczy zatem, że Jego krew zostanie słusznie przelana.

„Krew Jego na nas i na dzieci nasze” – w grece nie ma tu czasownika – stwierdza inny znany komentator R.T. France: „W takich przypadkach zwykle uznaje się, że domyślnym czasownikiem jest bezokolicznik »być«. Nie istnieje gramatyczne uzasadnienie rozumienia tego jako życzenia »Oby jego krew spadła na nas«, jak podają to niektóre wersje, czego rezultatem jest tradycyjne, lecz błędne rozumienie, że jest to »samoprzekleństwo, proroctwo lub krwawe żądanie«”.

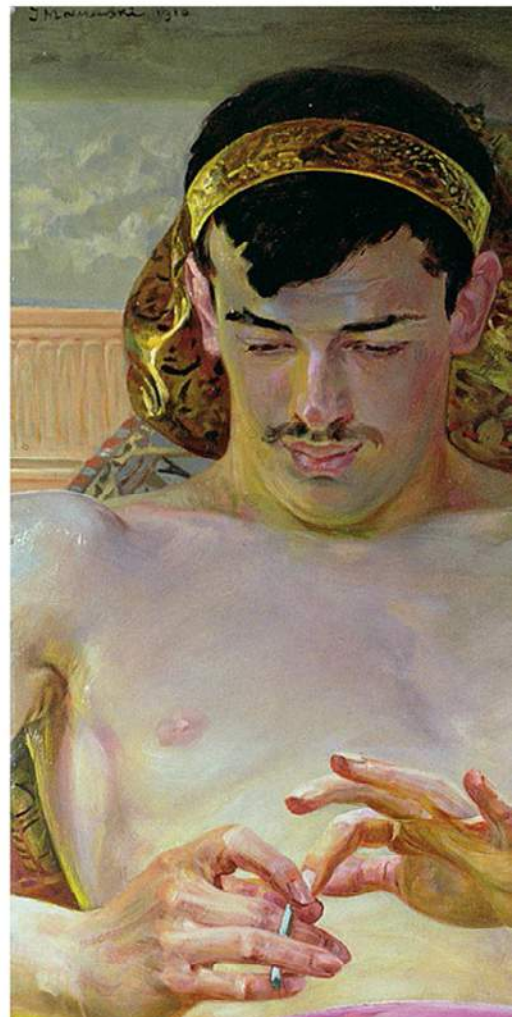
Odpowiedź tłumowi na słowa Piłata („To wasza sprawa”) w żadnym wypadku nie jest życzeniem, ale prostym wzięciem odpowiedzialności. Pojawia się ona często w tradycji żydowskiej, zawsze w kontekście odpowiedzialności za karę główną, i znać tylko, że sprawca sam sięgnął na siebie śmierć, że przez to, co zrobił, jego krew spadnie na niego. Wołając: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze”, obecni mówią: „Nie boimy się tej krwi, mamy do czynienia z przestępcą, to, co zrobił, spada na niego, potwierdzamy, że sam jest winien przelania krwi”. Taka jest logika zarówno odnośnych przepisów Prawa, jak i późniejszych przykładów Pisma.

I tak Księga Powtórzonego Prawa nakazuje wyznaczenie trzech miast dla nieumyślnych zabójców, w których będą mogli się bezpiecznie schronić. „Dzięki temu nie będzie przelewania niewinnej krwi w twoim kraju, który Pan, twój Bóg, daje ci w dziedzictwo. W przeciwnym razie będziesz winny przelewu krwi” (Pwt 19, 8-10). Temu przeciwstawiona jest sytuacja świadomego zabójcy – jego krew spada na niego samego. Tak samo rozumie to autor Księgi Jozuego: „Ktokolwiek wyjdzie za drzwi domu, sam będzie winien swojej śmierci, my zaś będziemy bez winy. Winni bylibyśmy wtedy, gdyby komukolwiek, kto będzie w twoim domu, stało się coś złego” (Joz 2, 19). Właśnie ze względu na to, jak wielką wagę Izrael przywiązywał do życia, do jego wartości, należało ściśle odróżnić sytuacje, kiedy ktoś zasługiwał na śmierć. Jego krew spadała wówczas na niego samego, a ci, którzy go zabijali, brali ją na siebie bez obaw, że ich skala i splami. „Krew Jego na nas i na dzieci nasze” jest to formuła izraelskiego świętego Prawa odnosząca się do odpowiedzialności za śmierć – pokazywał znany amerykański teolog Raymond Brown.

Czasem kara, która następuje, jest określona, czasem pozostaje w rękach Boga. Kryje się tu głębokie poznanie, że zniszczenie życia lub rozlew krwi jest takim naruszeniem

władzy Boga nad życiem i śmiercią, że musi to być wyjaśnione. Według Księgi Kapłańskiej (20, 9.11): jeśli ktoś przeklnie swych rodziców lub popełni cudzołóstwo z żoną swego ojca, „jego krew na niego”: przez to, co zrobił, sam stał się odpowiedzialny za karę, jaką było rozlanie jego krwi. Zburzenie Jerozolimy przez Babilończyków czy Chaldejczyków sprawia, że Syjon mówi: „Moja krew na mieszkańców Chaldei” (Jr 51, 35). Tak więc istnieje stała formuła „krew na (kogoś)” lub „krew na (czyjąś) głowę” wskazująca, kto jest odpowiedzialny za śmierć w oczach Boga.

Miszna („Sanhedrin” 4.5) twierdzi, że „w sprawach gardłowych krew niewinnej skazanego, tak jak i krew dzieci, które by miał, gdyby żył, spada na fałszywego świadka, który dostarczył fałszywego świadectwa, na podstawie którego doszło do skazania. [...] Chociaż Jr 31, 29-30 i Ez 18, 1-4 były reakcją przeciw twierdzeniu, że dzieci będą karane za grzechy ojców, biblijne pojęcie solidarności pozostało silne, głosząc, że potomków dotykają czyny przodków”.



Nie ma zatem wątpliwości: wyrażenie „krew Jego na nas i na dzieci nasze” oznacza wzięcie odpowiedzialności i deklarację winy Jezusa. Popelił On w oczach obecnych czyn tak karygodny, że nie boją się wziąć tej krwi na siebie, wiedząc, że spada ona na głowy winowajcy. Mateusz pokazuje tylko tyle: tłum ani nie jest żądny krwi, ani okrutny, jest natomiast przeświadczony, że Jezus jest bluźniercą, tak jak osądził Go Sanhedryn, i że zasługuje na śmierć. Dlatego kiedy Piłat się waha i nie potrafi wydać wyroku, tłum zaświadcza o winie Jezusa.

UTRACONA NIEWINNOŚĆ

A teraz kwestia druga, czyli co znaczy pojęcie „cały lud”. Po roku 70 mogło być ono interpretowane po prostu jako lud Izraela. Co jednak mógł sądzić Mateusz, zakładając, że jego Ewangelia powstała wcześniej? Jeśli, jak sądzę, udało się wykazać, że słowa „całego ludu” były jedynie potwierdzeniem winy Jezusa, to określenie to znaczyło tylko tyle, że Jezus został skazany zgodnie z prawem – skoro wyrok śmierci ogłosił Sanhedryn,

to działał on w imieniu wspólnoty, całego ludu. „Deklaracja »cały lud« oznacza, że chodzi o reprezentatywną grupę Izraela – komentuje France – (według zasady Starego Testamentu kara śmierci powinna zostać wsparta przez całą społeczność: Pwt 24, 13-16; Lb 35, 12; podobnie Dz 2, 36, gdzie Piotr zwraca się do »całego domu Izraela«, ogłaszając, że Bóg obronił Jezusa, »którego wy ukrzyżowaliście«).

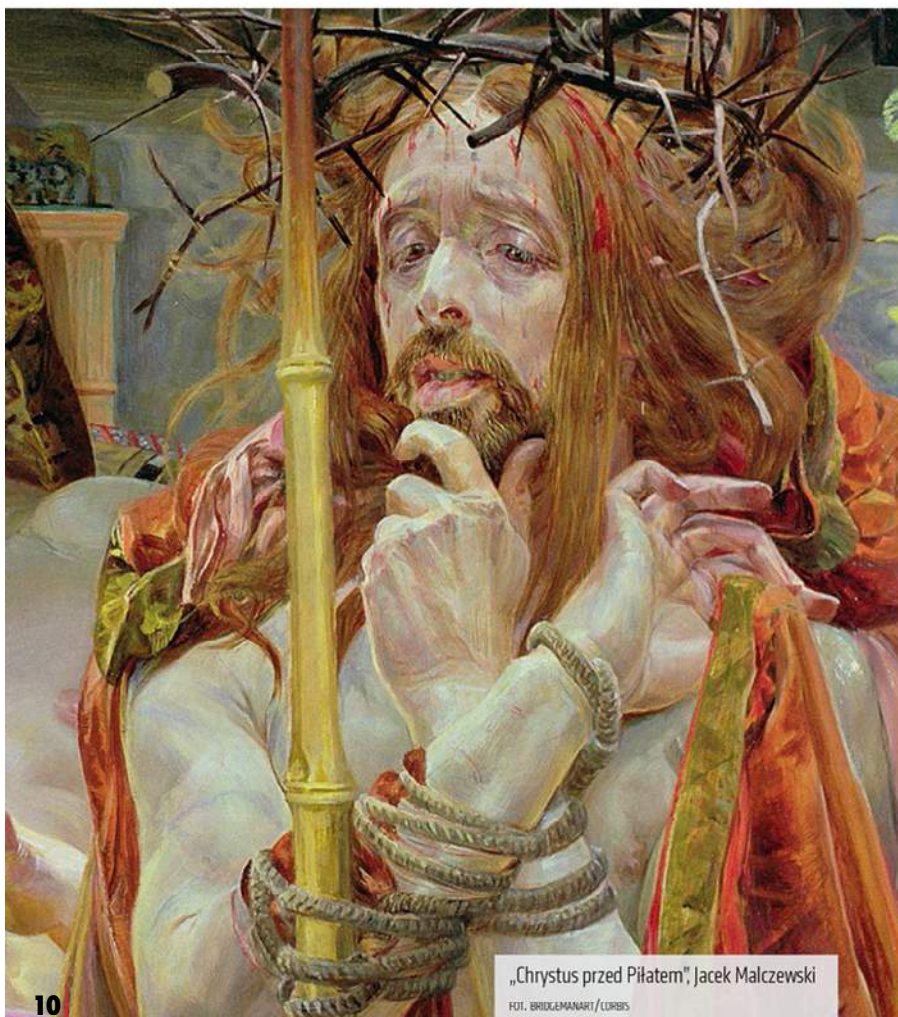
Po drugie, odpowiedzialność spoczywa nie tylko na mówiących, lecz także na »naszych dzieciach« (idea dziedzicznej winy za rozlanie krwi: 2 Sm 3, 29; 1 Krl 2, 33; Jr 26, 15 rozciąga winę na całe miasto) (s. 1057). W pierwszym zatem znaczeniu przywołanie przez Mateusza „całego ludu” oznacza tylko tyle, że wyrok został wydany zgodnie z prawem i cieszył się poparciem większości. To typowy dla starożytnych autorów sposób pisania. Józef Flawiusz opowiada w „Wojnie żydowskiej” (II, 261-263) o fałszywym proroku z Egiptu, szarlatanie, który skupił wokół siebie 30 tys. otumanionych ludzi. Obiecał on, że ci, którzy pójdą za

nim na Górę Oliwną, wtargną stamtąd do Jerozolimy i pokonają Rzymian. Ówczesny prokurator Feliks nie czekał z założonymi rękami, ale zaszedł prorokowi drogę wraz ze swym wojskiem. I teraz słowa Flawiusza: „a wraz z nim także cały naród stanął do obrony”.

Jak to cały naród – można zapytać – skoro przecież prorok z Egiptu zebrał wokół siebie kilkadziesiąt tysięcy Żydów? Nie chodzi tu o precyzyjne ustalenie, ilu ten szarlatan miał popleczników – zapewne Flawiusz przesadził. Ważne jest co innego: tam, gdzie starożytny autor chce powiedzieć, że większość ludu opowiedziała się za tym, co słuszne w jego oczach – a więc za walką z Egipcjaninem – po prostu pisał o „całym narodzie”. Tak samo, uważam, należy rozumieć słowa Mateusza. Mówiąc o „całym ludzie”, chciał on przede wszystkim pokazać, że zdecydowana większość współczesnych Jezusowi Żydów uznała wydany na Niego wyrok za sprawiedliwy.

Opis Mateusza ściśle odpowiada rzymskim regułom postępowania. „Proces powinien być toczyć się publicznie – pisze polska historyk Paulina Świąciecka – zgodnie z powszechnie obowiązującą zasadą jawności postępowania zarówno wobec stron, jak i wobec publiczności”. Polska badaczka trafnie zauważa, że taka zasada jawności, teoretycznie słuszna, łatwo mogła prowadzić do nadużyć. Sympatia lub antypatia tłumowi miała bowiem bezpośredni wpływ na decyzje sędziego, który często miał stosować się do reguł sprawiedliwości, ulegając żądaniom zgromadzonych.

Jednak legalność prawna i zachowanie reguł w tym konkretnym przypadku stały się moralnym, metafizycznym bezprawiem. Mateusz wskazuje zatem, że odpowiedzialność spoczęła na całym Izraelu, a nie na tym lub innym człowieku. Od tej pory, według autora pierwszej Ewangelii, żeby się zbawić, uwolnić od niewinnej krwi Jezusa, trzeba przystąpić do nowego Izraela – tego, który powołał Syn Człowieczy. Właśnie to, że Jezusa skazano w zgodzie z regułami Prawa, oznacza, iż Izrael utracił dawną czystość i niewinność. Albo Jezus był bluźniercą i słusznie poniósł śmierć nałożoną na Niego w imieniu ludu, albo był Synem Człowieczym i „cały lud”, Izrael jako byt metafizyczny, jako lud święty, wybrany, jako osoba, utracił niewinność, dopuścił się grzechu. Nie oznacza to winy poszczególnego Żyda w tym czy innym pokoleniu, lecz jedynie to, że przynależność do Izraela nie usprawiedliwia w oczach Boga. Każdy Żyd, tak jak każdy poganin, musi przystąpić do reszty Izraela, którą ocalił Mesjasz. „Lud Jerozolimy, tak jak jego przywódcy, odrzucił Syna posłanego do nich przez właściciela winnicy i status etnicznego Izraela jako



„Chrystus przed Piłatem”, Jacek Malczewski

FOT. BRIDGEMANART/LORBS

■ wybranego ludu Bożego nigdy nie może już być taki sam” – komentuje France.

Niezależnie od tego, czy ostatnim aktem procesu przed Piłatem była deklaracja zgromadzonych, biorących odpowiedzialność, prefekt wreszcie skazał Jezusa. „Postępowanie rozpoznawcze według *cognitio extra ordinem* kończyło się, co do zasady, wydaniem wyroku” (Paulina Święcicka, „Proces Jezusa”). Według Marka i Mateusza „Jezusa kazał ubiczować i wydał im na ukrzyżowanie” (Mt 15, 15; Mt 27, 26). Łukasz pisze: „Jezusa natomiast wydał zgodnie z ich wolą” (Łk 23, 25). Jan: „Wtedy im Go wydał na ukrzyżowanie” (J 19, 16). Jezusa ukarano zapewne na mocy *Lex Iulia de maiestate*. Przepis, do jakiego zapewne odwołał się prefekt, brzmiał po łacinie: *Maiestatis autem crimen illud est, quod adversus populum Romanum, vel adversus securitatem eius committitur*, czyli przestępstwo to polegało na zbrodni przeciw ludowi rzymskiemu lub jego bezpieczeństwu.

Oskarżenie Jezusa o to, że jest królem Żydów, oznaczało zdradę stanu (*perduellio*) i bunt (*seditio*) przeciw władzy ludu rzymskiego i cesarza (*maiestas populi Romani et principis*). *Perduellio* oznaczało każde złośliwe przestępstwo przeciw ludowi rzymskiemu, *seditio* – czynny bunt.

ROLA PIŁATA

Co oznaczają słowa ewangelistów, że Piłat „wydał im [Jezusa]”? Niektórzy sądzili, iż jest to dowód na to, że cały proces przeprowadzony przez Piłata był czystą formalnością, zwykłym potwierdzeniem żydowskiego wyroku. „Wydał im” oznaczałoby wtedy przekazanie Jezusa Żydom, administracyjną aprobatę żydowskiego wyroku.

Takie rozumowanie podtrzymywał znany austriacki uczony, Ernst Bammel. Według niego prefekt rzymski nie wszczął osobnego procesu przeciw Jezusowi, oparł się na wynikach rozprawy przed Sanhedrynem. Mógł po prostu zaakceptować wyrok Wysokiej Rady bez żadnego zbadania lub komentarza albo pokrótce zbadać sprawę i podjąć decyzję zgodnie z zasadami rzymskiej administracji. Bammel uważał, że Piłat nie przeprowadził osobnego niezależnego postępowania, jest zatem prawdopodobne, że kara za przestępstwo Jezusa została zaakceptowana przez rzymskiego sędziego w formie wyrażonej przez sąd żydowski. Według Bammela Piłat decydował jedynie o tym, czy zastosowanie kary według prawa żydowskiego było politycznie właściwe z punktu widzenia administracji rzymskiej.

Jeśli to tylko było możliwe, Rzymianie zostawiali bez zmian system sądowy w podbitych prowincjach, przynajmniej w okresie wczesnego pryncypatu. Jezus został osądzony według starego kodeksu karnego z czasów królów. Żeby kontrolo-



„Piłat umywający ręce”, Matthias Stome. FOT. BRIDGEMANART/CORBIS

wać lokalne sądy i przeciwdziałać błędnym wyrokom, Rzymianie – twierdził Bammel – wprowadzili obowiązek zatwierdzenia wyroków skazujących na karę główną przez odpowiednich urzędników, najczęściej prefektów. Wniosek: jeśli istniał werdykt wydany przez Sanhedryn, był on jedynie pobieżnie badany, a następnie realizowany przez rzymskie *exequatur* (s. 434–435).

Przeciw takiemu rozumowaniu przemawia jednak kilka ważnych racji. Gdyby rola Piłata ograniczała się jedynie do wyrażenia zgody na postanowienie Sanhedrynu, nie dałoby się zrozumieć, dlaczego miałby się aż tak opierać naciskom oskarżycieli. Albo Piłat faktycznie o czymś decydował – wówczas wywierana na niego presja ze strony arcykapłanów ma sens – albo jedynie aprobował wcześniejszy wyrok – wówczas opisane przez ewangelistów naciski na prefekta byłyby niejako zawieszane w próżni. Jeszcze mniej zrozumiałe byłby wtedy wybór między Jezusem a Barabaszem. Ma on sens tylko wówczas, jeśli przyjąć, że Piłat domniemywał, iż Jezus zostanie przez niego skazany. Jeszcze bardziej istotny, a nawet rozstrzygający, jest inny argument. Jak wytłumaczyć to, że Piłat tylko zatwierdził żydowski wyrok, skoro Jezusa oskarżono przed nim o osobne przestępstwo?

Piłat skazał Jezusa za próbę ustanowienia królestwa, a nie za bluźnierstwo czy pretensje mesjańskie. Przedmiotem dochodzenia w procesie rzymskim było pytanie, czy Jezus głosił, że jest królem żydowskim. W jaki zatem sposób Piłat mógłby wydać

wyrok zatwierdzający postanowienie Sanhedrynu, skoro Sanhedryn zajmował się czym innym? W oczach członków Wysokiej Rady Jezus zawiązał tym, że bluźnił, czyniąc się równym Bogu i kwestionując autorytet starszych; Piłat uznał, że Jezus chciał ustanowić królestwo. Oskarżono Go zatem o dwa różne przestępstwa według dwóch różnych systemów prawa.

Zresztą czy można sobie wyobrazić, że Piłat zasiadłby na krześle sędziowskim – co było uroczystą formą ogłoszenia wyroku – jeśli tylko miałby potwierdzić żydowskie postanowienie i zarządzić jego wykonanie? „Wydanie» zatem – stwierdzał słynny niemiecki teolog Josef Blinzler – nie miało dosłownego, lecz przenośny sens, co wyraźnie pokazuje sam Łukasz przez swój dopisek »zgodnie z ich wolą«. Wyrażenie on »wydał« podkreśla fakt, że przez swą decyzję Piłat ustąpił przed żądaniem żydowskich oskarżycieli”.

W żadnym wypadku słowa te jednak nie mają stanowić usprawiedliwienia dla Piłata. Niektórzy krytycy sądzili, że sformułowanie „wydał im” miało skrywać rzeczywistą odpowiedzialność Piłata i kierować uwagę słuchaczy na owo „im”, czyli Żydom. Jakkolwiek jest prawdą, że według wszystkich Ewangelii sprawcą siłą procesu przeciw Jezusowi były władze żydowskie, rola Piłata nie zostaje pomniejszona. Ewangelie nie są sprawozdaniami sądowymi, ich autorzy nie posługują się precyzyjnym językiem prawnym. Samo jednak określenie „wydać, przekazać, oddać”, greckie *paradidōnai*, nie ma

w sobie nic, co mogłoby usprawiedliwiać prefekta. Dołącza on do tych, których połączył ten czasownik: Judasz wydał Jezusa władzom żydowskim; władze żydowskie wydały Jezusa Piłatowi; teraz Piłat wydaje Jezusa na ukrzyżowanie. W przeciwnym razie jak dałoby się wytłumaczyć, że po wydaniu wyroku i przekazaniu „im” Jezusa na miejsce straceń odprowadzają Go żołnierze, którzy pod dowództwem centuriona towarzyszą Mu na miejscu straceń?

Twierdzenie Bammela, że żołnierze mogli zostać wykorzystani przez Sanhedryn, brzmi zupełnie nieprzekonująco. Wyraźnie widać to choćby w Ewangelii św. Jana, tej samej, która mówi o wydaniu Jezusa tym, którzy powiedzieli, że „nie mają króla, tylko cesarza” (J 19, 16). To Piłat nadzoruje egzekucję, dlatego Żydzi muszą go prosić, żeby „ukrzyżowanym połamano golenie i ich usunięto” (J 19, 31). Tak samo po śmierci Jezusa to Piłat decyduje o tym, co się stanie z Jego zwłokami. Jan wyraźnie stwierdza, że Józef z Arymatei poprosił Piłata o ciało Jezusa. I pisze: „Piłat zezwolił” (J 19, 38). Tak samo relacjonuje to wydarzenie Marek. Píše on, że Piłat zdziwił się szybką śmiercią Jezusa, zawołał setnika i spytał, czy dawno umarł. „A gdy setnik mu to potwierdził, wydał zwłoki Józefowi” (Mk 15, 45). Wszystkie te opisy byłyby bez sensu, gdyby przyjąć, jak chciał tego Bammel, że to Sanhedryn stracił Jezusa. Nie. Skoro Piłat decydował o wydaniu zwłok, to był on też tym, który zarządził egzekucję, i tym, który wydał osobny wyrok w procesie o bunt.

Pretorium, gdzie Piłat ogłosił wyrok, znajdowało się zapewne w pałacu Heroda, gubernator z reguły przebywał w siedzibie ostatniego władcy. Ważnym elementem pretorium była wywyższona platforma (łac. *tribunal*; gr. *bema*), na której prowadziły schody i na której umieszczano ławkę lub krzesło. Zasiadał na nim właściwy urzędnik, kiedy wydawał wyroki. Technicznym łacińskim określeniem miejsca sądu było *sella curulis* (krzesło kurulne); greckie słowo *bema* mogło być używane zarówno do określenia platformy, jak i umieszczonego na niej krzesła.

Nie jest jasne, czy raczej mają Marek i Mateusz, według których biczowanie nastąpiło bezpośrednio po ogłoszeniu wyroku i było zgodnie z praktyką rzymską częścią kary, czy Jan, który traktował biczowanie jako karę samodzielną, wykonaną wcześniej po to, by Piłat mógł uwolnić Jezusa. Pewne jest jedno, że była to kara istic barbarzyńska. Ofiarę rozbiierano do naga, przywiązywano do słupa lub kolumny, czasami po prostu rzucono na ziemię i tak długo bito, aż oprawcy się zmęczyli, a ciało ofiary zamieniało się w krwawe kawały.

Uderzać musi to, że żadna Ewangelia nie podaje dokładnie słów wyroku wydane-

go przez Piłata. *Crimen laese maiestatis* karano śmiercią, w prowincjach z reguły śmiercią krzyżową. [...] Przy skazaniu na śmierć na krzyżu sentencja wyroku zwykle brzmiała *Ibis ad crucem* (Wstąpisz na krzyż) lub *Abi in crucem* (Na krzyż z tobą) – pokazuje Blinzler. Być może była bardziej rozbudowana. „Pełna formuła wyroku najprawdopodobniej brzmiała: *Condemno. Ibis ad crucem. Lictor/Miles conliga manus. Verberetur!*, czyli: Skazuję cię, zostaniesz ukrzyżowany. Liktorze/żołnierzu, więź ręce. Będzie biczowany” (Paulina Świąciecka, „Proces Jezusa”). Z reguły, jak wspomina Tacyt, wyroki wykonywano natychmiast po ich ogłoszeniu, w systemie rzymskim nie było różnych instancji.

PRZERAŻAJĄCA KARA

Kiedy padły słowa: *Ibis ad crucem*, musiały wzbudzić wśród obecnych grozę. Ukrzyżowanie uważano bowiem za karę najokrutniejszą i najbardziej haniebną. „Dla ludzi świata starożytnego, Greków, Rzymian, barbarzyńców i Żydów – pisał inny niemiecki teolog i historyk Martin Hengel – krzyż nie był czymś obojętnym. Był rzeczą całkowicie skandaliczną, »obsceniczną« w pierwotnym tego słowa znaczeniu. Ukrzyżowanie było uważane za kwalifikowany rodzaj kary. Co się tyczy jej surowości, ukrzyżowanie może być porównane tylko z »popularną rozrywką« rzucania ofiar dzikim zwierzętom (*bestiis obici*)” – twierdził niemiecki teolog.

Dla ludzi świata starożytnego ukrzyżowanie było karą najokrutniejszą i najbardziej haniebną. Porównać ją można tylko do rzucania ofiar dzikim zwierzętom

W przeciwieństwie jednak do takiej rozrywki ukrzyżowanie było karą stosowaną znacznie bardziej powszechnie; można je było przeprowadzić wszędzie, podczas gdy *bestiis obici* wymagało areny miejskiej i koniecznych udogodnień. Oczywiście, dodaje Hengel, ukrzyżowanie także mogło służyć jako „popularna rozrywka”.

Niemiecki teolog udowodnił, że rzymski świat jednomyślnie niemal uznawał ukrzyżowanie za przerażającą, ohydłą karę. Dlatego niemal nie wspominają o niej inskrypcje. Do jakiego stopnia kara ta budziła przerażenie i strach, pokazuje przykład pism Cezara. „O ile się nie mylę – píše Hengel – to słowa *crux* lub *patibulum* wcale nie pojawiają się u Cezara, i to nie dlatego,

że nie używał on ukrzyżowania jako kary [...], lecz ponieważ nie chciał o tym pisać. [...] Krzyżowano często i w wielu miejscach, szczególnie w czasach rzymskich, lecz kulturalny świat literacki nie chciał mieć z tym nic wspólnego i z reguły milczał na ten temat”.

Inaczej niż w Persji czy Kartaginie – krajach, gdzie ją pierwotnie stosowano – w Rzymie była to typowa kara niewolników, zbrodniarzy i niespokojnych elementów w buntowniczych prowincjach, takich jak Judea. „Określenie kara »niewolnicza« (*servile supplicium*) pojawia się u Waleriusza Maximusa, współczesnego Tyberiuszowi, u Tacyty, u dwóch autorów »Historii Augusta« i w opisie okrutnego torturowania na śmierć u Liwiusza” – píše Hengel. Ciceron w jednej z mów „Przeciw Werresowi” nazwał ukrzyżowanie „karą najokrutniejszą i najpotworniejszą [...], najwyższą i ostateczną karą niewolników”.

Gdzie indziej Ciceron pisał: „Już samo słowo »krzyż« powinno pozostać daleko nie tylko od ciała obywatela rzymskiego, lecz także od ich myśli, oczu, uszu”. Groza towarzysząca śmierci na krzyżu była tak wielka, że trzeba było kilku wieków rozwoju chrześcijaństwa, żeby to narzędzie kaźni przemieniło się w symbol wiary. Jeśli chodzi o obrazy ukrzyżowanego Jezusa, jest tylko sześć wizerunków z okresu między II a V w. Jeden z najstarszych, mały, drugowieczny, wyrity w klejnocie z jaspisu, może być dziełem gnostyckim; ukazuje nagą, skrzyżowaną postać bez świadków i dlatego być może wyśmiewa ortodoksyjną wiarę chrześcijańską w śmierć Jezusa.

Głównym powodem powszechnego stosowania tej kary była jej niezwykle wysoka skuteczność jako środka odstraszającego; wykonywano ją, oczywiście, publicznie. Ukrzyżowanie doskonale zaspokajało prymitywną żądzę zemsty i sadystyczne okrucieństwo poszczególnych władców oraz mas. Zwykle łączyło się z innymi formami tortur, w tym z biczowaniem. „Przez publiczne pokazanie nagiej ofiary w ważnym miejscu – na skrzyżowaniu dróg, w teatrze, na wzgórzu, w miejscu przestępstwa – ukrzyżowanie także oznaczało jej największe możliwe upokorzenie, co miało wymiar numinotyczny. Pamiętając o fragmencie z Księgi Powtórzonego Prawa (Pwt 21, 23), szczególnie Żydzi byli tego wyjątkowo świadomi. Ta forma egzekucji bardziej niż każda inna budziła skojarzenia z ideą ofiar z ludzi, myśl o której nigdy całkiem w starożytności nie została wyeliminowana” – podsumowuje Hengel. *

Fragment książki „Kto zabił Jezusa. Prawda i interpretacja”, która ukazuje się nakładem wydawnictwa M.

IDEOLOGIE

Zagadka Adama Michnika



RAFAŁ
A. ZIEMKIEWICZ

Kto sieje wiatr, zbiera burzę. Adam Michnik jak nikt inny posiał w życiu publicznym III RP nienawiść i takie incydenty jak niedawno w Radomiu są tylko wyrazem powszechnej niechęci, jaką jest dziś otoczony

Losy Adama Michnika ułożyły się na podobieństwo dziejów maga Sarumana z „Władcy Pierścieni” J.R.R. Tolkiena. Tę sagę wszyscy znają, ale przypomnijmy: Saruman najpierw był przywódcą Białej Rady, jednym z głównych w Śródziemiu obrońców Dobra, któremu „odał nieocenione usługi”. Jednak w chwili próby uznał, że Zło jest nie do pokonania, że zamiast trzymać się pryncypiów, korzystniej będzie wejść z nim w sojusz. Próżność i przekonanie o własnej potęgze podpowiadały mu, że w sojuszu takim będzie stroną równorzędną, jeśli nie dominującą – w istocie odegrał jedynie rolę pachotka Złego Władcy. Ostatecznie stracił wskutek tego znaczenie oraz moc i stał się Sharkeyem – złośliwym, ale bezsilnym starcem, zdolnym już tylko do tego, by dla zemsty niszczyć hobbitom ogrody i wycinać drzewa.

Michnik, niegdyś wpływowy i powszechnie podziwiany, uważany za wyrocznie moralną i mesjasza wolności, kończy karierę równie groteskowo. Ambitne plany runęły, możni sojusznicy oszukali, zwolennicy znaleźli sobie nowych, bardziej im odpowiadających idoli. Jedyną satysfakcją starzejącego się, przegranego polityka i skompromitowanego moralisty stało się gnębienie wrogów na salach sądowych. Bodaj tylko tam Adam Michnik pozostaje jeszcze tym Michnikiem, którego: „Ja cię zniszczę” brzmiało kiedyś jak bezapelacyjny wyrok śmierci cywilnej.

Miałem niedawno okazję obserwować to, co wcześniej opisywali inni – rozprawę przypominającą procesy z małego kodeksu karnego, z sędzią nieukrywającą swego podziwu dla powodu, przepraszającą go nawet za to, że musiał się fatygować, zamykając oczy na oczywiste absurdalności pozwu (jest on dostępny w Internecie, polecam) i hurtem odrzucającą wnioski dowodowe strony pozwanej, jakby dowodem winy był sam fakt, że się komuś tak wielkiemu jak Michnik podpadło.

Ale na tę salę, gdzie wydawały się wciąż jeszcze trwać złote dla niego lata 90., Michnik docierać musiał chyłkiem, ukrywając się do ostatniej chwili przed otwarciem drzwi sali rozpraw w jakimś osobnym pomieszczeniu, wyraźnie przestraszony perspektywą spotkania z publicznością (na jeden z wytaczanych przez siebie procesów przyszedł nawet w towarzystwie ochroniarzy z psami). Można rzec, iż akurat w sądzie, do którego przychodził przeciwnicy, taka ostrożność jest uzasadniona. Ale z niechęcią i wrogością spotyka się Michnik praktycznie zawsze, jeśli tylko widownia nie została zawczasu wyselekcjonowana. Na imprezy z jego udziałem wpuszcza się zazwyczaj za imiennymi zaproszeniami. Świadek jednej z nich, promocji książki odbywającej się w Krakowie (występujący pod własnym nazwiskiem wykładowca akademicki, więc trudno go dyskredytować porównywaniem do zamaskowanych

zadymiarzy), zapisał: „Sam Michnik był jednym z najmłodszych uczestników spotkania”. Wydawcy przestali zapraszać go do podpisywania na rozmaitych targach książki, bo podchodziły niemal wyłącznie osoby mówiące mu rzeczy przykre. Wbrew stereotypowi, jaki starają się ukuć w obronie szefa jego podwładni, wcale nie agresywne. Jak opowiadali świadkowie takich spotkań, były to głównie wyrazy rozczalenia – wierzyliśmy panu i zostaliśmy okłamani. W duchu podobnym do listu otwartego, który wystosował do Michnika Jan Krzysztof Kelus, i do wypowiedzi wielu innych jego byłych przyjaciół.

POLITYCZNY TEATRZYK

Miarę rozgoryczenia wyznaczają rozmiary dawnego uwielbienia. Jeszcze dla mojego pokolenia Michnik wydawał się bogiem, szczególnie po liście napisanym z więzienia do Czesława Kiszcza. Tym listem i szeregiem innych dumnych zachowań wykreował się – z pomocą Wolnej Europy – na najbardziej nieprzejednanego, bohaterskiego antykomunistę. Kiedy Jacek Kaczmarski wytykał w balladzie małość Andrzejowi Wajdzie, brylu-





FOT. MAKSIMILIAN KUCIAKOW / REPORTER

jącemu po stanie wojennym na paryskich salonach, w kontrapunkcie umieścił tylko jedno słowo: „Adam”.

W świetle późniejszych poczynąń Michnika widzę we wspomnianym liście i w całym jego ówczesnym antykomunizmie tylko cwany, polityczny teatrzyk. Swą niezłomną postawą wobec „czerwonego”, pogardą dla każdej „świni”, która się z nim brata, skutecznie zastraszył całą resztę opozycji i zapewnił swojej grupie monopol na paktowanie z „czerwonym” w kwestii przejęcia władzy. Wyrzucając z urodzin Kuronia jednego z uczestników za to, że odmówił zdecydowanego potępienia Marcina Króla, który wynegocjował z władzą naziemne wydawanie pisma „Res Publica”, nie mógł jednak Michnik nie wiedzieć, że sam Kuroń w tym czasie namawia do negocjacji płk. Lesiaka. Gdyby więc traktował własną niezłomność poważnie, powinien czyszczenie imprezy ze „świń” zacząć od solenizanta.

Spiaram się o to ze znajomymi, którzy w tym czasie działali w podziemiu i znali Michnika dobrze. „Mylisz się, on naprawdę taki był, to wszystko było szczere”. Jeśli to oni mają rację, to jak w takim razie wyjaśnić wolę Michnika w III RP, przeniesienie

przez niego niemalże z dnia na dzień całej swej nienawiści z komunistów na antykomunistów, bruderszafty z najgorszymi kanonami PRL, „odpięprzenie się od generała” i „człowieka honoru”? Trzeba by zastąpić komentarz polityczny psychoanalizą.

ANATOMIA UPADKU

Do mnie jednak bardziej przemawia polityka. Droga Adama Michnika, wbrew pozorom, jest konsekwentna. Hołdując idei przekształcenia Polski w lewicową utopię, „coś lepszego i od kapitalizmu, i od sowieckiego komunizmu”, oparł się na wziętym od Gramsciego przekonaniu, że masy zmienia się poprzez zmianę elity. Robił więc wszystko, aby uzyskać „rząd dusz” nad PRL-owską „inteligencją pracującą”, nad elitami „realnego socjalizmu”, które w 1989 r. odwróciły się od partii, zniechęcone siemiennością socjalistycznego biedowania i niezaspokojeniem przez PRL ich elementarnych aspiracji. Odrzucenie antykomunizmu, kampania przeciwko lustracji i wszelkim rozliczeniom były decyzjami wyrachowanymi, to one właśnie uczyniły z Michnika superbohatera sieroty PRL i Mojżesza III RP, przeprowadza-

jącego nomenklatury z PRL do wspólnej, postępowej Europy.

Michnik popełnił jednak dwa błędy. Po pierwsze nie rozumiał sytuacji państwa postkolonialnego, w które wpisany jest naturalny konflikt pomiędzy wyrosłymi z kolaboracji elitami a masami, więc instynktowi naśladowania elit ustępuje instynktowi przekory wobec nich. Eliminując bardzo sprawnie rywali do rządu dusz nad „dobrze ustawionymi”, sprawiając umiejętnie wrażenie, że „wszyscy ludzie rozumni i na pewnym poziomie” mówią jego głosem, stał się à rebours ojcem chrzestnym prawicowej opozycji, Radia Maryja i całej formacji intelektualnej, dla której jego nikczemności i obłudne moralizatorstwo stały się tym samym, czym dla jego własnej formacji marcowa publicystyka moczarowców.

Po drugie nie rozumiał, zapewne wskutek pychy, że liderem opinii zostaje się nie dlatego, iż dzięki posiadanemu darowi wielkości narzuca się swój punkt widzenia milionom. Liderem opinii zostaje się dlatego, że się odpowiada na potrzeby milionów, nadaje rangę temu, co chcą one słyszeć, uzasadnia wzniośle to, do czego one dążą, często z lichych pobudek. Michnik od czasu swej wolty praktycznie przestał być liderem intelektualnym – elity na wszelkie sposoby dogadzały jego próżności, ale kompletnie go ignorowały; znaczący jest fakt, iż jego książki, nawet gdy był u samego szczytu, ukazywały się dzięki dotacji Ministerstwa Kultury. A gdy odegrał już swą rolę i „ochrzcił” warstwę społeczne, które potrzebowały przeniesienia swej pozycji z PRL do III RP, zaczął być przez nie, pod pozorami czci, zwyczajnie ignorowany.

Zamiast Polski Turowicza, ks. Tischnera i Miłosza zbudował Michnik Polskę Palikota, Lisa i Wojewódzkiego. Występ u tego ostatniego, gdzie zniżył się do żenujących rehotów i opowieści, jak to kiedyś „ruchał”, dopełnił miary upadku byłego intelektualnego guru. Nawet we własnej gazecie traktowany jest dziś jak czcigodna ciotka, której urządzenie puszcza się mimo uszu. Z licznych dowodów przywołajmy ogłoszenie istnienia „uczciwej endecji”. Publicyści z Czerskiej kompletnie tę linię zignorowali; tym bardziej niewyobrażalne jest dziś, aby Michnik wywierał wpływ na kogokolwiek spod innych adresów.

Pozostaje mu tylko wyzywanie się w jadłowitych obelgach pozwów sądowych i szukanie triumfów nad zwycięskimi krytykami w uzyskanych kazuistycznymi łamancami wyrokach. Wyrokach, które i tak niczego nie zmieniają, bo ten najważniejszy został już przecież w sprawie Michnika wydany i jest dla niego miażdżący. *



Nie wiem, ile mszy będzie trzeba zamówić, by ten człowiek wyszedł z czyścica – mówi mi zakonnica, która na zlecenie nuncjatury apostolskiej badała akta dotyczące inwigilacji Stolicy

Apostolskiej. Nic dziwnego. Nie ma wśród agentury watykańskiej drugiej takiej osoby, która komunistycznym służbom przekazywałaby informacje tak długo, bo aż przez trzy pontyfikaty – od Pawła VI począwszy, na Janie Pawle II skończywszy.

Pochodzący z Kaszub o. Józef Penkowski, rocznik 1930, pochodził z bardzo religijnej, wielodzietnej (miał dziesięcioro rodzeństwa) rodziny. Jako nastolatek zaczął naukę w Niższym Seminarium Duchownym w Górnej Grupie, potem wstąpił do zakonu werbistów. Na prezbitera wyświęcony został 19 sierpnia 1956 r. w Pieniężnie.

KONTAKT Z SB

W łapy SB wpakował się dobrowolnie podczas studiów. W 1961 r. napisał list do przewodniczącego lubelskiego Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyslicieli, informując go, że zamierza wystąpić z zakonu. List za pośrednictwem miejscowego Wydziału ds. Wyznań Wojewódzkiej Rady Narodowej trafił do lubelskiej Służby Bezpieczeństwa. Bezpieka natychmiast rozpoczęła akcję „Dezterter”, której celem było zwerbowanie Penkowskiego. 23 maja 1961 r. Penkowski umówił się z kpt. Marianem Sierpiem z SB na spotkanie w Ogrodzie Saskim w Lublinie. „Omawiając jego postanowienie w kwestii wystąpienia z zakonu, oświadczył, że z zamiarem tym nosi się od 1959 r. Postanowienie to uzasadnia tym, że już w ubiegłych latach miał duże wątpliwości w kwestii wierzeń religijnych, które w toku studiów na KULu pogłębiły się, i ostatecznie stoi obecnie na stanowisku poglądów ateistycznych, stał się niewierzącym i chce rozpocząć nowe życie, włączając się swą pracą do budownictwa socjalistycznego” – raportował kpt. Sierpień po spotkaniu.

W tej sytuacji funkcjonariusz się nie wahał i ujawnił, że nie reprezentuje Stowarzyszenia Ateistów, lecz lubelską SB. „Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Odniosło to raczej dodatni wpływ, gdyż stwierdził, że mu to nie przeszkadza i będzie raczej lepiej, gdyż mamy lepsze możliwości udzielenia mu pomocy i zachowania dyskrecji” – raportował funkcjonariusz.

Na następne spotkanie umówili się dwa dni później w lokalu konspiracyjnym bezpieki.

Penkowski obszernie omówił sytuację u werbistów.

Oficerów



Cezary Gmyz

Niewierzący zakonnik, którego bezpieczeństwa powstrzymała przed zrzuceniem habitu, stał się najgroźniejszym agentem komunistycznych służb w Stolicy Apostolskiej

TAJEMNICE WYWIADU

Donosił na polskiego papieża

martwiły tylko jego plany. „Ponieważ nosi się on z zamiarem wystąpienia z zakonu w połowie sierpnia br., co poważnie ograniczyłoby możliwości jego wykorzystania. W celu spowodowania, by czasowo w zakonie pozostał, wystąpić w czasie pozyskania z propozycją, by przyjął stanowisko profesora W.S.D. w Pieniężnie. W celu nakłonienia go do powyższej decyzji zgodnie z propozycją Nacz. Wydz. V Depart. III MSW obok zabezpieczenia mu warunków mieszkaniowych z chwilą wystąpienia z zakonu zaproponuję mu miesięczne wpłacanie na założoną na jego nazwisko książeczkę PKO 1000 zł oraz pewną sumę na jego osobiste wydatki” – proponował kpt. Sierpień, zdając sobie sprawę, że Penkowski poza zakonem dla SB będzie kompletnie bezużyteczny.

O tym, że człowiek, który utracił wiarę, pozostaje w zakonie i przyczynia się do niszczenia Kościoła, decydują więc pieniądze. Penkowski przyjmuje ofertę SB i odrębnie sporządza zobowiązanie do współpracy. Oficerowie, przed którymi podpisał zobowiązanie, nie zdawali sobie wówczas sprawy, że pozyskali jednego z najcenniejszych agentów, który w przyszłości wyrzuci Kościołowi, Stolicy Apo-

stolskiej i papieżom niepowetowane straty. Nigdy nie został zdekonspirowany.

Niebawem otrzymuje pseudonim Konrad, którym podpisywał pokwitowania odbioru pieniędzy.

O WŁOS OD DEKONSPIRACJI

Jako donosiciel pracował z pełnym poświęceniem. W październiku 1961 r. kpt. Sierpień sporządził jego charakterystykę. „Od chwili pozyskania uzyskano 14 doniesień mających dużą wartość operacyjną. Dotyczą one sytuacji w tym zgromadzeniu i na KULu, bieżącej działalności poszczególnych zakonników i kierownictwa prowincji z siedzibą w Pieniężnie, form i metod działalności, ukrywających się w Polsce księży z Czechosłowacji” – pisał kpt. Sierpień zaledwie pięć miesięcy po zwerbowaniu Penkowskiego.

Już wtedy pojawiła się koncepcja wykorzystania TW „Konrada” przez komunistyczny wywiad, który chciał wysłać zakonnik na studia do Szwajcarii, gdzie mieści się dom generalny werbistów. SB najpierw musiała Penkowskiego odpowiednio zalegendaować. Problem polegał na tym, że w owym czasie werbistom, jako zakonnikom misjonarzom, z automatu odmawiano

paszportu. Przyznanie go „Konradowi” wzbudziłoby więc podejrzenia.

Funkcjonariusze kazali więc udawać Penkowskiemu, że stara się o paszport jako osoba świecka. Dopiero po dwóch latach wyszło na jaw, jak bardzo Penkowski był wówczas bliski dekonspiracji w związku ze sprawą ukrywających się w Polsce werbistów z Czechosłowacji.

Słowak Štefan Horváth – występujący pod nazwiskiem Andrzej Domagalski – został potajemnie wyświęcony w Gnieźnie na kapłana. „Otóż swego czasu w jednej z placówek księży Werbistów, prawdopodobnie w Lublinie, przygotowana została paczka z rzeczami poszukiwanego Andrzeja Domagalskiego. Na paczce był napisany adres, gdzie się ukrywał i gdzie paczka ta miała zostać wysłana. W niedługim czasie u wspomnianego adresata dokonana została rewizja. Z uwagi na to, że paczkę tą u księży Werbistów miał widzieć tylko ks. Penkowski, panuje zatem przekonanie, że nie kto inny, tylko on poinformował o tym fakcie władze państwowe w celu aresztowania Domagalskiego. Jak informował TW »Ostrożny«, ks. Penkowski miał być zauważony przy czynieniu jakiś zapisków z tej paczki. W związku z powyższym w klasztorze mówi się, że za udzieloną pomoc władzom ks. Penkowski otrzymał zezwolenie na wyjazd do Szwajcarii. TW zwrócił uwagę, że gdy ks. Penkowski był w ubiegłym roku w Pieniężnie, to księża nie chcieli z nim rozmawiać i izolowali się od niego jako osoby podejrzanej”.

Zadenuncjowany przez Penkowskiego Słowak został aresztowany i wydany do Czechosłowacji, gdzie został skazany na przymusowe roboty. Pracował jako palacz w Tatranskiej Lesnej.

Nie jest jasne, dlaczego SB wówczas nie zrezygnowała z usług Penkowskiego. Najprawdopodobniej nie został wycofany z sieci agenturalnej dlatego, że od listopada 1962 r. współpracował już z Departamentem I, czyli wywiadem. Uznano zapewne, że niebezpieczeństwo minęło.

18 marca 1962 r. TW „Konrad” opuścił Polskę na kilkadziesiąt lat. Wyjeżdżał wyposażony przez bezpiekę w aparat fotograficzny, hasła kontaktowe, instrukcje tajnej korespondencji oraz adresy tzw. punktów korespondencyjnych, na które miał wysyłać zdobyte informacje. Ustalono, że przez pierwsze pół roku pobytu za granicą Penkowski nie będzie się kontaktował z nikim z bezpieki. Później miał się do niego zgłosić ktoś z hasłem: „Widziałem się z Konradem z miasta Łodzi i przekazuję pozdrowienia”. Odpowiedź brzmiała: „Jak się czuje Karol, czy mieszka w dalszym ciągu na Hożej?”. Na to oficer miał odpowiedzieć: „Czuje się dobrze, mieszka w dalszym ciągu na Hożej”.

Uzgodnio również tzw. znaki umowne. Kartka z wizerunkiem kościoła wysłana na adres punktu korespondencyjnego oznaczała, że Penkowski podejrzewa, iż jest śledzony przez policję. Poczłtówka przedstawiająca akwenty oznaczała, że ma do przekazania informację o przedstawicielach emigracji, reprodukcje dzieł malarskich oznaczały gotowość do przekazania informacji dotyczących duchownych, kartka tzw. składanka informowała o tym, że Penkowski nie ma żadnych trudności. Dodatkowo uzgodniono, że jeśli w treści kartki pojawi się imię Jacek, to będzie to oznaczało, iż Penkowskiemu udało się nawiązać kontakt z o. Innocentym Bocheńskim, znanym polskim dominikaninem i sowietologiem. Użycie w treści imienia Feliks oznaczało, że zdobył informacje dotyczące generała zakonu werbistów lub członków rady generalnej zakonu.

PRZYJACIEL DYPLOMATÓW

Niestety, teczki personalna oraz pracy za czas współpracy Penkowskiego w wywiadzie nie zachowały się. W związku z tym nie jesteśmy w stanie, przynajmniej na razie, odtworzyć jego działalności z okresu pontyfikatów Pawła VI i Jana Pawła I. Na szczęście zachowały się kopie donosów agenta „Konrado” (po przybyciu do Włoch zintalianizowano mu pseudonim) z okresu pontyfikatu papieża Polaka.

Po studiach w Szwajcarii dwa lata (1965–1966) spędził w Tanzanii na badaniach terenowych. W 1967 r. dostał skierowanie do pracy w Stolicy Apostolskiej. Miejsce, w którym zamieszkał, było idealne z punktu widzenia wywiadu.

– Lubię dom, w którym mieszkam na Via dei Verbiti I w Rzymie. Odpowiada mi jego międzynarodowy charakter, mamy tu 70 osób 24 narodowości – wspominał w wywiadzie udzielonym w 1996 r. W tym samym miejscu mieściła się też Kuria Generalna Werbistów.

Przez lata pobytu w Rzymie zbudował imponującą sieć kontaktów. Nie było właściwie osoby z tzw. polskiego lobby w Watykanie, której by nie znał. To właśnie on, jako jeden z najdłużej pracujących w Stolicy Apostolskiej Polaków, wprowadzał rodaków w tajniki miasta-państwa za Spizową Bramą. Z meldunków zachowanych w IPN wynika, że ufali mu m.in. prymas Polski abp Józef Kowalczyk, wówczas pracujący w sekretariacie stanu, dzisiejszy przewodniczący episkopatu abp Józef Michalik, pracownik dyplomacji watykańskiej ks. Janusz Bolonek, ks. Bogumił Lewandowski, który w Watykanie był od 1962 r., ks. Adam Boniecki, wówczas redaktor naczelny polskiej edycji „L'Osservatore Romano”.

Wydaje się, że największym sukcesem „Konrado” było zbliżenie się do Amerykanki słowackiego pochodzenia ks. Johna (Jana) Bukovsky'ego. Duchowny ten był również werbistą i mieszkał w tym samym domu, co agent „Konrado”. Ksiądz Bukovsky od 1973 r. w Sekretariacie Stanu pracował na kluczowym stanowisku oraz zajmował się Europą Środkową i Wschodnią. Należał do najbliższych współpracowników wytrawnych watykańskich dyplomatów, a późniejszych kardynałów – Agostino



Ojciec Józef Penkowski – agent SB w Watykanie przez trzy papieskie pontyfikaty

Casarolego i Luigię Poggiego. Casaroli stał na czele Sekretariatu Stanu i uchodził za autora zmiany watykańskiej polityki wschodniej, dzięki czemu dorobił się przydomka Kardynał Pierestrojka. Poggi był z kolei odpowiedzialny głównie za kontakty Watykanu z Polską, pełniąc poniekąd funkcji nuncjusza apostolskiego z siedzibą w Rzymie. W Polsce gościł wielokrotnie, negocjując z władzami komunistycznymi.

AGENT GLOBALNY

Innym, bezpośrednim źródłem „Konrado” był ówczesny arcybiskup, a późniejszy kardynał Francesco Colasuonno, który w kwietniu 1986 r. został nuncjuszem z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami i szefem delegatury Stolicy Apostolskiej do stałych kontaktów z Polską. Dzięki tym kontaktom agent „Konrado” dysponował potężną wiedzą, którą skrupulatnie dzielił się z oficerami komunistycznej rezydentury.

Żaden z rozmówców „Konrado” nie domyślał się, że rozmawiając ze skromnym werbistą, dzieli się wiedzą z jednym z najgroźniejszych agentów komunistycznego wywiadu w Watykanie.

Zakres informacji przekazywanych przez „Konrado” był olbrzymi. Najwięcej donosów dotyczy polityki Jana Pawła II i Stolicy Apostolskiej wobec Polski. „Kon-

rado” relacjonuje spodziewane nominacje biskupie, opinie polskich duchownych na temat polityki PRL, przygotowania do kolejnych pielgrzymek. Z równą dokładnością informuje o polityce Watykanu wobec innych państw bloku komunistycznego. Jednak to nie wyczerpuje jego aktywności. Donosy „Konrado” mają charakter globalny. Sytuacja w Afganistanie, katolicyzm w Brazylii, obsada personalna diecezji w Niemczech, relacje z wizyty papieskiej w Ameryce Łacińskiej i Afryce, przygotowania do wizyty Jimmy'ego Cartera w Watykanie – o tych wszystkich wydarzeniach agent informował bezpiekę.

„Konrado” nie ograniczał się jedynie do przekazywania opinii wygłaszanych w Watykanie. Narażał również konkretnych ludzi na niebezpieczeństwo, informując na przykład o przerzucaniu w darach ulotek z Niemiec do Polski.

Istnieje podejrzenie, że wywiad mógł się obawiać, iż agent został zdekonspirowany, kilka notatek z końca lat 80. zawiera bowiem uwagę: „Informacja zawiera elementy inspiracji”. W języku wywiadu oznaczało to, że oficer podejrzewa, iż agent jest podejrzwany o współpracę z wywiadem PRL, ale nie ujawnia się tej informacji, by za pomocą źródła przekazywać informacje, które według kościelnych przełożonych powinny trafić do odpowiednich czynników w PRL.

WIERNY DO KOŃCA

„Konrado” służył SB do końca. Ostatnie jego znane donosy pochodzą z sierpnia 1989 r., kiedy Tadeusz Mazowiecki zaczynał tworzyć swój gabinet. Dotyczyła kandydatur na stanowisko nuncjusza w Warszawie. Wkrótce potem w MSW zapadła decyzja o likwidacji siatki szpiegowskiej w Watykanie.

W 1995 r. Penkowski osiągnął szczyt swojej kościelnej kariery. Jako tzw. regent stanął na czele całego kompleksu Muzeów Watykańskich. Funkcję pełnił przez półtora roku.

Mimo stopniowej utraty wzroku i przejścia na emeryturę jeszcze przez kilka lat przychodził do pracy w Muzeum Misyjno-Etnograficznym.

W 1996 r., z okazji przejścia na emeryturę, kard. Castillo Lara przypiął mu na piersi najwyższe watykańskie odznaczenie – złoty krzyż papieski orderu „Pro Ecclesia et Pontifice” (Za Kościół i Papieża). Trudno o większą ironię.

1 sierpnia 2003 r. wrócił do Polski. Osiedził w Domu Misyjnym św. Józefa w Górnej Grupie. Zmarł 3 lutego 2006 r. w szpitalu w Grudziądzu na skutek niewydolności krążenia. Cztery dni później pochowano go wśród innych zakonników na cmentarzu w Górnej Grupie. Historia zatoczyła koło. Spoczął tam, gdzie rozpoczął swoją kapłańską drogę.

A black and white photograph of a woman with dark, curly hair, identified as Jadwiga Kaczyńska, holding two young children, identified as the Kaczyński twins. She is wearing a light-colored blouse and a dark, patterned vest. The children are also wearing light-colored clothing. The background is a plain, light color.

Jadwiga i Rajmund Kaczyński
spodziewali się córki.
Narodziny bliźniaków były
zaskoczeniem FOT. EAST NEWS

BIOGRAFIA

Kaczyńscy: historia rodzinna

SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Rodziców Lecha i Jarosława łączyły rodzinne tradycje i wojenne wspomnienia. W PRL myśleli o tym, żeby mimo warunków panujących w kraju zapewnić synom spokojne życie i optymalne warunki do nauki

Sobota, 18 czerwca 1949 r. Jadwiga z Jasiewiczów i jej mąż Rajmund Kaczyński przebywali w niewielkim spółdzielczym mieszkaniu przy ulicy Pawła Suzina 3/216 na Żoliborzu, które należało do rodziców Jadwigi. Oczekiwali potomstwa. Poród odbywał się w domu (w szpitalu panowała epidemia pęcherzycy), był ciężki i długotrwały (trwał całą dobę). Spodziewano się raczej córki, ale na świat przyszedł dwaj chłopcy, bliźnięcy – Lech Aleksander i Jarosław Aleksander. W odróżnieniu od Jadwigi Rajmund nie okazywał wielkiego zdziwienia. „Nie, jakoś tak przyjął to normalnie. Może uważał, że to podnosi jego męską dumę” – przypomina sobie Jadwiga.

GENEALOGIA

23-letnia Jadwiga Stanisława (31 grudnia 1926 r. – 17 stycznia 2013 r.) i 27-letni Rajmund Edward (1 września 1922 r. – 17 kwietnia 2005 r.) pobrali się zaledwie rok wcześniej. Tworzyli normalną warszawską, inteligentną, kochającą się rodzinę, łączyły ich również wspomnienia wojenne i rodzinne tradycje. Przez doświadczenia i przeżycia wojenne byli bardziej dojrzałymi, niż wskazywałaby na to metryka urodzenia. To zresztą charakterystyczna cecha ich pokolenia.

Jadwiga była postacią szczególną. Wywarła ogromny wpływ na życie synów. Była ciekawą osobowością, pełną serdeczności i ciepła. Niezależna intelektualnie, odważna moralnie, budowała silną więź z synami. Jej literackie pasje kształtowały w nich poczucie estetycznego smaku, ale i wnikliwość w rozumieniu otaczającego świata. Dowcipna, błyskotliwa, towarzyska, wносиła wiele pozytywnej energii do rodziny. Elegancka, taktowna, pełna czaru, z historią rodzinną, którą można by obdzielić kilka książek. Urodziła się w Starachowicach. Tu uczyła się w szkole powszechnej, gimnazjum, na tajnych kursach podczas wojny, a później w liceum. Była młodszą córką Stefani z Szydłowskich primo voto Fyutha i Aleksandra Jasiewicza (1890–1951), którego ród wywodził się z Kresów Wschodnich.

Z notatek rodzinnych wynika, że do rodziny Jasiewiczów należały majątki Józefów, Kuszany, Śniegi i Wysokie. Wszystko uległo zmianie po powstaniu styczniowym, kiedy to Józefów i Kuszany

zostały zarekwirowane, a płk. Wincentego Jasiewicza wywieziono na Syberię i ślad po nim zaginął. Żoną Wincentego Jasiewicza była Konstancja Steckiewicz, natomiast żoną ich syna Stanisława była hrabina Jadwiga Dunin-Brzezińska herbu Łabędź. Ci ostatni mieli dziewięć dzieci, w tym czworo bezdzietnych. Pięcioro z nich, którzy pozostawili swoich potomków, to: Wincenty, Julia, Stefania, Jerzy i Aleksander – ojciec Jadwigi Kaczyńskiej. W notatkach rodzinnych zanotowano, że Wincenty miał trzech synów: Lucjana, Stanisława, Adama (w Kanadzie). Julia miała córkę Walentynę i syna Jarosława (w Rosji). Stefania – syna Stanisława zwanego Stasinkiem. Natomiast Jerzy miał dwie córki: Hannę, która zmarła na Syberii, oraz Joannę (w Anglii). Zaś Aleksander ożeniony ze Stefanią Szydłowską herbu Lubicz – dwie córki: Irenę i Jadwigę, później Kaczyńską. Prawdopodobnie w latach 1917–1918 ich ojciec i dziadek Stanisław Jasiewicz został zabity jako biały oficer w randze pułkownika. Majątkiem opiekowała się następnie siostra Stanisława Jasiewicza – Jadwiga Jasiewicz, która wyszła za mąż za studenta Uniwersytetu Londyńskiego Ryżego. Ostatnie wiadomości o nich pochodzą z jesieni 1939 r.

JASIEWICZOWIE

Rodzice Jadwigi Kaczyńskiej – Stefania i Aleksander – poznali się właśnie w Starachowicach. Jednak pierwsze lata dzieciństwa Jadwiga spędziła w Warszawie, najpierw na Mokotowie, a później na Żoliborzu. Aleksander Jasiewicz był jednym z projektantów Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, którą założyli działacze Polskiej Partii Socjalistycznej. Był „rozpolitykowany”. Związał się z PPS, stąd jego dystans do marszałka Józefa Piłsudskiego i systemu rządów po zamachu majowym 1926 r. Ojciec Jadwigi Kaczyńskiej był antypiłsudczykiem, matka natomiast zwolenniczką Marszałka, dorastała zatem w domu debat politycznych i dyskusji historycznych, tak charakterystycznych dla czasów przedwojennych. Jadwiga Kaczyńska wspomina pewien spacer z ojcem. Miała wówczas może 10 lat. Nagle zauważyła, że wszyscy mężczyźni zdejmują czapki i kłaniają się. Okazało się, że właśnie przejeżdżał Mościcki. Ojciec, mimo że nie miał żadnego stosunku do Mościckiego, powiedział do niej:

„Dygnij! Tak wypada”. Jadwiga Kaczyńska po latach błyskotliwie i z pewnym sentymentem do dawnych czasów skomentowała tę chwilę tak: „Wtedy się dygało...”.

Aleksander Jasiewicz nie zerkał w stronę komunistów i także po wojnie zachował dystans do nowej rzeczywistości. Zarówno w rodzinie Szydłowskich, jak i Jasiewiczów ciągle dyskutowano o polityce. Konflikt pomiędzy Romanem Dmowskim i Józefem Piłsudskim dzielił obie rodziny: „W domu dziadków rozprawiano bez przerwy: »ten Dmowski, ten Piłsudski!«. Miałam osiem lat i mogłam dokładnie powiedzieć, co zrobił jeden, a co drugi”.

Stefania i Aleksander Jasiewiczowie zamieszkali na Żoliborzu, w domu przy ulicy Mickiewicza 27, gdzie później mieszkał Jacek Kuroń. W Warszawie ich córka Jadwiga chodziła do przedszkola, ale potem dużo czasu spędzała w Starachowicach u dziadków, było to związane z chorobą jej ojca. Niestety, Aleksander Jasiewicz miał gruźlicę. Leczone go w Otwocku i kilkakrotnie za granicą, ale większość czasu spędzał po prostu w domu. To ze względu na stan jego zdrowia podjęto decyzję o przeniesieniu się do Starachowic. Najpierw pojechała tam matka z drugą córką Ireną. Jadwiga została w domu razem z ojcem. W tym czasie bardzo zachorowała i czekała na operację gardła. Później dowcipnie wspominała, że stan jej choroby przedłużał się, bo w tajemnicy przed ojcem ukradkiem jadła lody i cały czas była chora. Zatem termin operacji, ku jej ucieście, ciągle był odkładany. Towarzyszyła więc ojcu w Warszawie i czasem jeździła do Starachowic odwiedzając matkę i siostrę. I tak oto rodzina Jasiewiczów zawieszona była pomiędzy dwoma domami: w Warszawie i w Starachowicach. Aleksander Jasiewicz zmarł w 1951 r. Jadwiga miała wówczas niespełna 24 lata. I mimo smutku, jaki ogarnął panią Stefanię oraz jej dwie córki, zawsze wspominały Aleksandra jako człowieka obdarzonego wielkim poczuciem humoru, ale też jako tego, który pierwszy w rodzinie przeczuwał, że w 1939 r. wybuchnie wojna i zdusi Polskę z dwóch stron: z Niemiec i Rosji.

JAN SYBIRAK

Stefania Jasiewiczowa miała syna z pierwszego małżeństwa – Jana Fyutha (1916–1941), który w 1939 r. brał udział w obronie Warszawy jako podchorąży rezerwy. Wrócił później do Starachowic i niedługo potem z grupą kolegów wyruszył w drogę do Francji, by zaciągnąć się do polskiego wojska. Przez niemiecko-sowiecką linię demarkacyjną przeprowadzała ich prowokatorka i wpadli w zasadzkę. Fyuth zaczął uciekać i został postrzelony w głowę.



Kiedy Rajmund poślubił Jadwigę, był już magistrem inżynierem Politechniki Łódzkiej. FOT. EAST NEWS

wę. Pojmali go Sowieci i skazali później na łagier. Zmarł w kwietniu 1941 r. Pierwsze wiadomości o Janie rodzina Kaczyńskich uzyskała od jednego z jego kolegów, który przeżył łagier. Natomiast informację o śmierci Fyutha przekazał Czerwony Krzyż na początku lat 60. W każdym razie Jan był dla rodziny postacią wyjątkową, a dla samej Jadwigi kimś bardzo ważnym. To właśnie on kształtował jej wczesną wyobraźnię estetyczną i fascynację wysoką kulturą. Przyrodni brat był od niej starszy o 10 lat i zawsze bardzo jej imponował. Inteligentny, dowcipny, błyskotliwy, zanurzony we współczesnym nurcie życia kulturalnego przedwojennej Warszawy był dla Jadwigi przewodnikiem i nauczycielem. Zabierał ją do Ziemiańskiej, by pokazać Skamandrytów, i do muzeów na wędrowki po historii sztuki. Podarował jej tomik poezji Juliana Tuwima, który towarzyszył jej przez wiele lat. Prawdopodobnie to wówczas rozpoczęła się wielka przygoda Jadwigi Kaczyńskiej z literaturą i sztuką. Jan Fyuth, wówczas młody, urodziwy człowiek, jeździł z przyjacielem jego sportowym wozem, co wówczas było wielką ekstrawagancją, a nawet można go było wtedy uznać za ekscentryka. Nie przeszkadzało to Jadwidze, która z rozrzewnieniem wspominała wspólne przejażdżki rzeźbionym autem i słynne chodzenie kilka kroków za przyrodnim bratem. Bo jak ktoś taki jak młody Fyuth mógł pokazywać się ze smarkatą na ulicach Warszawy?

IRENA Z NSZ I CIOTKI ŻYDÓWKI

Jadwiga miała też starszą o pięć lat siostrę Irenę. Irena Jasiewiczówna primo voto Gloger (1922–2008) w czasie wojny związała się z konspiracją Narodowych Sił Zbrojnych. Była plastyką. W 1949 r. po raz drugi wyszła za mąż. Poślubiła Stanisława Tomaszewskiego ps. Miedza – znanego rysownika, architekta wnętrz, zaangażowanego w Akcję „N” żołnierza Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Jego wojenne losy związane z uwięzieniem na Pawiaku, umyślnym zarażeniem tyfem i umieszczeniem w szpitalu na Woli, skąd został ewakuowany przez AK po upozorowaniu zgonu (podstawiono zwłoki zmarłego mężczyzny), spopularyzował film Stanisława Jędryki „Umarłem, aby żyć”, którego scenariusz (autorstwa Jerzego Janickiego) nawiązywał do relacji pamiętnikarskiej Tomaszewskiego. „Miedza” był ojcem chrzestnym Lecha Kaczyńskiego. Tak na marginesie trzeba dodać, że matką chrzestną Lecha została ocalała z Zagłady literatka zaprzyjaźniona z Jadwigą – Zofia Woźnicka, zresztą siostrzyczka Kaczyńskich z bloku przy ulicy Suzana. Woźnicka



Jadwiga Kaczyńska z sześciolatekni bliźniakami – Lechem i Jarosławem, 1955 r. FOT. EAST NEWS

była postacią tyleż barwną, co tragiczną. Żydówka ocalała z Holocaustu. Silnie związana ze swoją siostrą bliźniaczką Ludwiką. Córka Henryka Wichra (Nojfelda) i Marii Feilchenfeld. Podczas okupacji razem z siostrą przebywały w Warszawie, gdzie były ukrywane przez Felicję i Władysława Felhorskich. Obie pisarki. Obie charyzmatyczne osobowości. Zofia tłumaczka z języka francuskiego, Ludwika z języka angielskiego. Zofia napisała kilka książek do słynnej serii „Ewa wzywa 07” pod pseudonimem Cassa Kasicka Emilia. Ludwika też używała tego pseudonimu. Inteligentne, dowcipne, utalentowane literacko bliźniaczki erudytki fascynowały nie tylko Jadwigę Kaczyńską, a ich samobójcza śmierć w okresie, gdy były już starszymi paniami, do dziś stawia wiele znaków zapytania. Bo czy można ją wytłumaczyć tylko traumą wojenną, która na zawsze zostawiła swój ślad?

Jadwiga Kaczyńska zaangażowana była w wojenną konspirację. Od 1941 r. służyła w starachowickich „Szarych Szeregach” w zastępie „Zioło”, w drużynie im. Emilii Plater. Przyjęła konspiracyjny pseudonim Bratek. Od 1944 r. pracowała też w tamtejszym szpitalu na oddziale chirurgicznym jako sanitariuszka. Po wojnie wstąpiła do Sodalicji Mariańskiej.

Od najmłodszych lat fascynowała ją literatura piękna. Wybór studiów polonistycznych wydawał się więc naturalny. I tak w 1949 r. Jadwiga była już studentką trzeciego roku polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Po studiach, w 1953 r., trafiła do kierowanego przez Stefana Żółkiewskiego Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. W Pracowni Dokumentacji Literackiej opracowywała dorobek pisarski różnych autorów. W 1955 r. otrzymała interesujące zadanie prowadzenia Bibliografii Zawartości Czasopism Emigracyjnych z Londynu. Po niespełna trzech latach odeszła z IBL na własną prośbę. Przez kilka lat nie pracowała. Później uczyła języka polskiego w XLV Liceum Ogólnokształcącym im. Romualda Traugutta przy ulicy Smoczej, zaś w latach 1960–1961 w dwóch „ciężkich” szkołach podstawowych na zasadzie zastępstwa – na Młocinach i na Powązkach. Od 1962 r. zaczęła uczyć języka polskiego w Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Chrobrego, gdzie prowadziła również kółko literackie i teatralne. Po latach (w 1969 r.) wróciła



Rodzina Kaczyńskich w Sopocie, 1954 r. FOT. ARCHIWUM RODZINNE/EAST NEWS

do IBL, w którym pracowała aż do przejścia na emeryturę w 1987 r. W Instytucie zajęła się m.in. analizą twórczości Leona Kruczkowskiego. Już w pierwszym okresie pracy w IBL (1953–1956) spotkała m.in. Barbarę Otwinowską i kolegę ze studiów Jana Józefa Lipskiego. To właśnie Lipski w IBL „przysposobił” Jadwigę „jako osobę do pomocy”. Konspiracyjna działalność Otwinowskiej i Lipskiego w czasie wojny stała się później pretekstem do ich inwigilacji oraz represji ze strony bezpieki. Nic więc dziwnego, że w połowie lat 50. w IBL panowała atmosfera zastraszania.

KACZYŃSCY

Mąż Jadwigi – Rajmund Kaczyński – pochodził z Grajewu. Jego rodzicami byli Franciszka ze Świątkowskich (1893–1960) i Aleksander Kaczyński (1890–1956). Rajmund nie był ich jedynym dzieckiem. Drugi syn i córka Kaczyńskich – Piotr oraz Jadwiga – zmarli przedwcześnie w młodości. Jadwiga zmarła w 1938 r., będąc już studentką prawa na Uniwersytecie Warszawskim (wcześniej studiowała na Uniwersytecie Poznańskim), natomiast Piotr zmarł

w 1924 r., mając zaledwie cztery lata (pryczyną śmierci był dyfteryt). Pierwsze pięć lat życia Rajmund spędził z rodzicami w Grajewie. Później, w związku z tym, że jego ojciec pracował w Polskich Kolejach Państwowych w Baranowiczach, skończył tam szkołę powszechną i rozpoczął naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Reytana, w którym w 1939 r. złożył egzamin maturalny. Bezpośrednio przed wojną, także w związku z obowiązkami zawodowymi Aleksandra, Kaczyńscy osiedli w Brześciu Litewskim, gdzie zastała ich wojna.

Uciekając przed Sowietami, dotarli do Warszawy. Tu Rajmund w 1940 r. rozpoczął naukę w Zawodowej Szkole Technicznej (Technische Fachschule), powstałej na bazie zamkniętej przez Niemców w 1939 r. Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda. Kaczyński ukończył Technische Fachschule w 1943 r. i od razu podjął naukę na Wydziale Mechanicznym Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej (PWST) w Warszawie, którą w 1942 r. uruchomili Niemcy, godząc się nawet na polski język wykładowy.

Rajmund studiował tam do wybuchu powstania warszawskiego. Niemcy stworzyli tu szkołę, której absolwenci mieli być wykorzystani do pracy na Syberii, zaraz po zwycięstwie armii Hitlera. Szkołę tę akceptowały polskie władze konspiracyjne, bo dawała Polakom możliwość kształcenia i paradoksalnie umożliwiała dalszy rozwój. PWST była niejako w sprzeczności z obowiązującą niemiecką polityką, która stawiała tylko na wykształcenie Polaków na poziomie szkół powszechnych. Niemcy uważali, że Polakom wystarczy podstawowe nauczanie, a PWST otwierała jednak szansę kształcenia na wyższym poziomie. Planowano stworzenie wydziałów Mechanicznego, Elektrycznego i Budowlanego. Zajęcia miały odbywać się w pomieszczeniach Politechniki Warszawskiej, której gmach został zniszczony w roku 1939, ale na potrzeby otwarcia nowej szkoły Niemcy go odbudowali. Kadra nauczycielska wywodziła się z Politechniki Warszawskiej oraz z politechnik Lwowskiej i Gdańskiej. Technische Fachschule była więc dla Rajmunda miejscem, gdzie zdobył dobre podstawy do późniejszej pracy, ale też paradoksalnie zaszczerpiła w nim wielką pasję do nauki, do projektowania i szukania nowatorskich, technicznych rozwiązań, które

w późniejszych latach zaowocowały trzema patentami i wieloletnią pracą naukową na politechnice.

Kiedy Rajmund poślubił Jadwigę, był już świeżo upieczonym absolwentem (magistrem inżynierem) Oddziału Technologicznego Politechniki Łódzkiej, na której studiował od 1945 r. Jeszcze podczas studiów w Łodzi Rajmund Kaczyński podjął pracę w Zakładach Samochodowych w Głownie. Znał języki niemiecki, rosyjski i słabiej francuski. Rajmund był człowiekiem bardzo pracowitym i ambitnym. Rok 1947 był dla niego znaczący, bo rozpoczął wówczas pracę na Politechnice Warszawskiej. Pracował tu z przerwami do emerytury, czyli do września 1987 r. Do 1958 r. godził intensywnie życie zawodowe z pracą naukową. Nie było to łatwe w tamtych czasach, szczególnie jeśli się jeszcze miało rodzinę. Najważniejsze dla niego lata to 1958–1987, wówczas mógł oddać się przede wszystkim pracy naukowej. Na politechnice ceniono go za jego wiedzę, pomysłowość, ale i umiejętność pracy w zespole. Napisał wiele znaczących prac z zakresu teorii niezawodności pracy systemów energetycznych. Zgłosił trzy wnioski patentowe i uchodził za naukowca o oryginalnych, nowatorskich pomysłach.

Należy wspomnieć również o bohaterstwie Rajmunda Kaczyńskiego. W czerwcu 1942 r. został zaprzysiężony w Armii Krajowej i przybrał pseudonim Irka. Był najpierw dowódcą sekcji, a później drużyny, mimo odniesionej w pierwszych chwilach powstania kontuzji walczył do końca września 1944 r.: „Rajmund Kaczyński uczestniczył w odbiorze broni ze zrzutów lotniczych i brał udział w licznych akcjach dywersyjnych. Podczas Powstania Warszawskiego »Bazta« walczyła na Mokotowie. 2 pluton I Kompanii »Bazty« walczył na służewieckich wyścigowych torach konnych. Ciężko ranny w dłoń [stracił kciuk prawej ręki – przyp. aut.] został w tych dniach Rajmund Kaczyński. Wytrzymał, dzielnie dowodząc swoją drużyną. Za odwagę i wspaniałą postawę w obliczu nieprzyjaciela oraz prawidłowe dowodzenie wykazujące troskę o wojsko, którym dowodził, generał Antoni Chruściel »Monter« odznaczył Kaczyńskiego Orderem Wojennym – Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari V Klasy. Z ręką na temblaku dalej walczył na Mokotowie do końca września. Opuścił Warszawę po upadku Mokotowa przez Dulag 121 w Pruszkowie i obóz jeniecki k. Skierniewic, będący pod opieką RGO. Udało mu się zbiec poza teren obozu, wywieziony w stercie siana i dzięki temu uniknął jenieckiego obozu w Niemczech”.

Większość jego kolegów z drużyny zginęła na początku i pod koniec powstania

warszawskiego. Niewątpliwie trauma związana z tragedią powstania warszawskiego, ogromem zbrodni niemieckich i sowieckich czy symbolicznym końcem II Rzeczypospolitej wpłynęła na postawę Rajmunda Kaczyńskiego w PRL. Charakteryzowała ją typowa dla wielu żołnierzy AK i uczestników powstania chęć przystosowania się do życia w Polsce Ludowej, swego rodzaju wewnętrzna emigracja oraz przekonanie o sile systemu komunistycznego, a więc również rezerwa wobec postaw otwarcie i aktywnie antykomunistycznych, które mogłyby skutkować kolejnym niepotrzebnym rozlewem krwi czy represjami. Do rangi symbolu w tej kwestii urasta postawa kard. Stefana Wyszyńskiego, który jakże często studiował nastroje rodaków, mówiąc: „Musimy pokonać wybujały indywidualizm tkwiący w naszym narodowym charakterze, także indywidualizm grupowy, musimy go pokonać w duchu tej miłości, która budzi wieczną gotowość do poświęceń. Łatwiej umrzeć w chwale, aniżeli żyć, walczyć przez całe lata z trudnościami, z brakami i znosić cierpienia. To wymaga większego bohaterstwa w tych chwilach brzemiennych w wydarzenia i budzących tyle naszych obaw”.

DŁUGIE TRWANIE

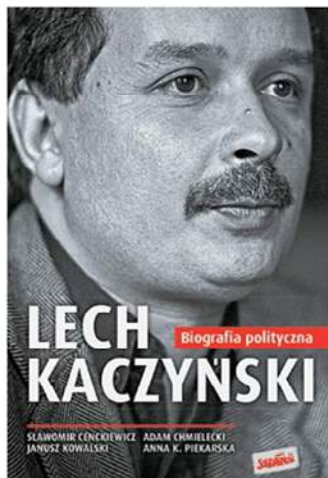
Wielu myślało podobnie jak Wyszyński. Niewątpliwie sprzyjał też temu terror nowego reżimu, który tuż po „wyzwoleniu” Warszawy w styczniu 1945 r. zainicjował agresywną akcję propagandową wymierzoną w dowództwo Armii Krajowej i przywódców Polski Podziemnej, a pośrednio również w uczestników powstania. Ta „chirurgia pamięci” – jak wczesną walkę propagandową z pamięcią powstania trafnie określił kiedyś historyk Jacek Z. Sawicki, w której wojenni liderzy byli zdrajcami i zbrodniarzami – tworzyła klimat

powszechnego zastraszenia i lęku wśród uczestników konspiracji. Bez tego wszystkiego nie sposób zrozumieć pragmatycznej postawy Rajmunda w PRL, który zdając sobie sprawę z geopolitycznych realiów, myślał o swoich synach, chcąc im zapewnić „spokojne życie” i warunki do nauki.

Życiowy pragmatyzm i chęć zapewnienia rodzinie spokojnego życia w Polsce Ludowej nie oznaczały jednak afirmacji reżimu ani też jawnej czy konfidenckalnej kolaboracji Rajmunda Kaczyńskiego z komunizmem i jego tajnymi służbami. Wbrew różnego typu plotkom, sugestiom czy supozycjom nie wstąpił on do PZPR. W okresie PRL nie potwierdzono także odznaczeń przyznanych mu przez dowództwo AK. Awans na porucznika otrzymał dopiero 30 kwietnia 2001 r., na mocy decyzji ministra obrony narodowej... Bronisława Komorowskiego. Był inwigilowany przez bezpiekę. Z zapisów kartotecznych Służby Bezpieczeństwa wynika, że od 13 lipca 1955 r. pion śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego prowadził przeciwko niemu działania w ramach sprawy ogólnoinformacyjnej. Podstawą zainteresowania bezpieki była służba Kaczyńskiego w AK [...]. W związku z wyjazdami za granicę również pion paszportowy SB kontrolował Rajmunda [...].

Informacje pochodzące z akt SB i dokumentów pracowniczych z Politechniki Warszawskiej stoją w sprzeczności z popularnymi dziś „ustaleniami” głównonurtowych publicystów, którzy bez jakichkolwiek podstaw próbują dowiedzieć, że był czołowym oportunistą w PRL, należał do partii, w domyśle współpracował z bezpieką i rzekomo „wyjeżdżał” na zagraniczne kontrakty. •

Fragment książki „Lech Kaczyński. Biografia polityczna. Tom 1: 1949–2005”.



Czworo autorów: Sławomir Cenckiewicz, Adam Chmielecki, Janusz Kowalski i Anna K. Piekarska przygotowało dwutomową biografię zmarłego w katastrofie smoleńskiej prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Pierwszy tom obejmujący lata 1949–2005 trafi do rąk czytelników w maju. Choć początkowe rozdziały publikacji dotyczą genealogii rodziny Kaczyńskich, jest ona biografią polityczną. Autorzy zdokumentowali działalność Lecha Kaczyńskiego jako doradcy Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w sierpniu 1980 r., jego aktywność w „Solidarności” i konspiracji w latach 1981–1989. Kolejne rozdziały dotyczą okresów, w których Lech Kaczyński pełnił m.in. funkcje prezesa NIK, ministra sprawiedliwości oraz prezydenta Warszawy.

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ, ADAM CHMIELECKI, JANUSZ KOWALSKI, ANNA K. PIEKARSKA, „LECH KACZYŃSKI. BIOGRAFIA POLITYCZNA. TOM 1: 1949–2006” ZYSK I S-KA

WYWIAD

Z Szymonem Hołownią, publicystą

rozmawia

Tomasz P. Terlikowski

Jestem nowicjuszem w talibanie

TOMASZ P. TERLIKOWSKI: Istnieje życie poza mainstreamem?

SZYMON HOŁOWNIA: Oczywiście, że istnieje. Choć ja w mainstreamie nadal zamierzam zanurzać tę nogę, którą mi pozwolą wykapuć, ja się łatwo nie poddam i jeśli mnie wyrzucają drzwiami, to wracam oknem. Bo mam nadzieję, że wreszcie uda się doprowadzić do sytuacji, w której to życie poza mainstreamem stanie się mainstreamowe, że sprytnie odwrócimy proporcje i pokażemy, iż sens nie zawsze jest tam, gdzie jest większość.

A czy ty przypadkiem nie histeryzujesz, twierdząc, że wypchnięto cię z mainstreamu? W końcu jesteś gwiazdą TVN, który telewizją niszową nie jest, a jedy-
nymi miejscami, z których cię wypchnięto, są tygodniki „Newsweek” i teraz „Wprost”.

Moje przejścia z dwoma ważnymi, opiniotwórczymi tygodnikami w Polsce niewątpliwie wystarczą, żeby zadać pytanie o to, czy coś złego nie dzieje się z mainstreamem. Nigdy nie deklarowałem, że decyduję się na rekluzję, zamknięcie w pustelni i nie będę już nigdzie publikował oraz występował...

... czyli marzenia tych, którzy chcieli zobaczyć cię wśród kartuzów, się nie spełni?

Raczej nie. Ale zadaję pytanie o to, co dzieje się z tą częścią naszych kolegów, którzy – wierzę, że szczerze – daliby sobie rękę uciąć za to, że są obiektywni, wyważeni, że kontynuują najlepsze wzorce dziennikarstwa, a w istocie stali się misjonarzami jakiejś sprawy. Ty i ja też jesteśmy misjonarzami jakiejś sprawy, ale my przynajmniej nie udajemy.

„Newsweek” obiektywizmem nie grzeszy od jakiegoś czasu, „Wprost” także, a o „Gazecie Wyborczej” czy TVN24 w ogóle nie ma co gadać. A ty dopiero teraz to zauważyłeś?

Nie pozwolę ci jęczeć na TVN24, obaj wciąż mamy tam drzwi otwarte, ja chodzę tam chętnie, jestem traktowany uczciwie, odnajduję się nawet w dyskursie z publicystą Jarosławem Kuźniarem, który po moim tekście w sprawie „afery kolanowej” w salezjańskim gimnazjum był uprzejmy prychnąć, że „mam talent do bredzenia”.

Co do „Wyborczej” nie chcę się wypowiadać, bo nigdy nie zostałem poproszony o współpracę. Mają prawo mieć własne poglądy, tu nie o to chodzi, chodzi o to, jak się traktuje tych, którzy mają inne. W tygodnikach, o których mówimy, wcześniej zawsze trwała debata. Ostra, emocjonalna, ale jednak debata. „Newsweek” za Wojtką Maziarskiego też miał rozmaite okładki. Była zgoda na naparzanekę, ale z dwóch stron, a nie na jednostronny atak na Kościół, przed którym nie ma go wewnątrz kto i jak bronić. Nie mam też wątpliwości, że przy wszystkich różnicach jakoś się tam szanowaliśmy.

Cały czas nie mogę uwierzyć, że to dla ciebie nowość. Z Kaczyńskim nie dyskutuje się od dawna, o Rydzyk też jest chłopcem do bicia od lat co najmniej 20, a ty zauważasz to dopiero teraz?

Tak, bo Kaczyński kompletnie mnie nie interesuje, o Rydzyka też nie śledzę, interesuje mnie Kościół, a wobec



niego właśnie teraz przestaje się stosować choćby pozory rzetelności. Nie ma już znaczenia, czy badania, na które się powołujemy, twierdząc, że większość księży ma kochanki, przeprowadzono na próbie reprezentatywnej czy na kwotowej. Nie ma już potrzeby, by ktokolwiek – zgodnie ze starą zasadą BBC – reprezentował inne spojrzenie na problem. Rynek prasy pikuje, wszyscy nakręcili się więc na to, że trzeba „thrillować”, sprzedawać emocje

kosztem prawdy, myślą, że znaleźli genialny sposób – rozprzedają domowe srebra, więc będą bogaci. Wiadomo, jak taka ekonomia się kończy.

I chcesz mi powiedzieć, że w twojej pierwszej redakcji, czyli w „Gazecie Wyborczej”, debaty na tematy światopoglądowe i polityczne trwały, że można się było różnić i spierać?

Za moich czasów trwały. „Gazeta Wyborcza” pod koniec lat 90. to było wymarzone miejsce do nauki zawodu, mam z niej same dobre wspomnienia. Byłem wtedy początkującym redaktorem, pisałem o kulturze. Później – w innych redakcjach – długo i uczciwie pracowałem na to, żeby mieć prawo do prezentowania własnych poglądów. Ja nie domagam się, żeby wszyscy myśleli tak jak ja. Uczono mnie, że tekst ma nie tyle być prawomówny, ile ma być dobrze napisany, udokumentowany, ciekawy. Staram się więc, a tu bum – ktoś konfrontuje mnie z pojęciem linii redakcyjnej i mówi: „Sorry, fe, nieładnie piszesz, głupi jesteś, do kąta”. To nie początek końca wolności słowa?

Ale nawet „Ozon”, w którym w pewnym momencie obaj pracowaliśmy, też miał linię redakcyjną. I mnie kiedyś z nią skonfrontowano, zakazując udziału w dyskusji o homoseksualizmie, uznano bowiem, że mam za wyraziste poglądy.

To było jeszcze za pontyfikatu Rosiaka, Moczulskiej i mojego? Jeśli tak, to na pewno zrobiliśmy to z troski, martwiąc się o ciebie, bo już wtedy ten homoseksualizm do tego stopnia spędzał ci sen z powiek, że aż żał było patrzeć (śmiech). A poważnie – pamiętasz, jakie było credo Rosiaka, w końcu przez długie lata dziennikarza BBC? Konfrontacja postaw. Palikot za to płacił, ty tam pisałeś, ja pisałem, Tomasz Lis pisał, zapraszaliśmy ludzi z zupełnie różnych bajek, tworzyliśmy pole debaty, na którym można było przedstawiać i weryfikować swoje sądy. A teraz jakaś pani nie publikuje mojego tekstu, za to bije mnie publicznie po łapach, bo powinno być dla mnie jasne, jakie są poglądy jej i redakcji. Może to koniec pewnego typu dziennikarstwa.

Koniec jednego, a początek drugiego. Medioznawcy zwracają uwagę na to, że rodzi się nowy typ mediów, czyli media tożsamościowe, które mają umacniać ludzi w ich poglądach, a nie tworzyć przestrzeń debaty. „Newsweek” i „Wprost” zyczajnie weszły na tę drogę i nie ma w tym niczego zaskakującego.

To super, szczęść im Boże na tej drodze i nie zamierzam sobie z tego powodu otwierać zył...

... bo na suchą bułę, by zacytować Tomasza Machałę, cie jeszcze stać...

I nawet na serek do bułeczki też. Powtarzam – jeśli dodatkowo znajdę miejsce w mainstreamie, gdzie da się dorobić na szczypiorze do posypania, nie uchylę się, będę tam pisał i gadał. Bo ja to po prostu kocham, nic mnie tak nie podnieca jak debata, gdzie jest dobrze skonstruowany argument, ale jest też szacunek człowieka do człowieka. A tu się skończył szacunek. Biedę w rozumowaniu ma przykryć deprecjonowanie oponenta. My zostaliśmy ochrzczeni talibami. Idąc tym brzydkim tropem, można by rzec, że po drugiej stronie też nie mamy dziś wcale sił wyzwoleńczych, ale również talibów, choć z innymi turbanami.

Zawsze myślałem, że ty chodzisz bez turbanu, a do bycia talibem się nie przynajasz.

Niewątpliwie w byciu talibem jesteś dla mnie wciąż niedościgłym wzorem.

Bo ty jesteś talib modernista?

Raczej nowicjusz w talibanie. Ale duszpasterstwo powołaniowe talibów działa i już dzwonią do mnie z propozycjami, bym przyłączył się do jednej z waszych medres.

I?

I nie wstąpię, bo nie mam potrzeby przynależenia do grupy. Mam naturę osoby, która nie przepada za przynależnością.

Wyszedł z ciebie cały mainstream. Wy tam to nie przynależycie, ale my tu, talibowie, to oczywiście jesteśmy grupowi, nie myślimy samodzielnie, tylko przyłączamy się do grupy. To, żeby ci utrudnić, do jakiej grupy ja należę?

Ty jesteś poza kategoriami, jesteś ikoną polskiego talibanu, Sauronem katolickiego Mordoru, którym postępowe hobbity już straszą swoje dzieci. Jesteś postacią wyrazistą i to jest cenne, ale ja nie zamierzam ci robić psychoanalizy. Czasem lubię czytać to, co piszesz, czy słuchać tego, co mówisz; czasem jestem podekscytowany formą, czasem treścią. Niekiedy – gdy się zapędzisz, pobudzisz, w charakterystyczny sposób przekrzywiasz głowę i patrzysz spod okularów, stanowczo miotając twarde frazy i wymachując ręką – mam wrażenie, że ty sam świetnie się bawisz w mediach...

A dla ciebie to ciężka, katorżnicza praca?

Mnie też to sprawia dziecięcą radość, ale chyba nie taką jak tobie, gdy na twojej twarzy pojawia się swoisty chuligański uśmiech, bo rozmówcy już kompletnie nie wiedzą, co zrobić z twoimi opiniami oraz przekonaniami. A ty jedziesz po bandzie i czasem poza nią wyjeżdżasz, z ukrywaną z trudem satysfakcją.



■ Odezwał się w tobie psycholog.

Studiowało się kilka lat, więc moge trochę w tobie pogrzebać. Jediną wspólnotą, do której ja chcę należeć i należę, jest Kościół. W Kościele też zresztą nie należę do żadnej frakcji czy ruchu i dzięki temu zakochałem się w nim jako takim. A w mediach? Moja niechęć do innych przynależności wynika z odrzucenia tego tak typowego dla Polski etykietowania na pierwszy rzut oka. Ten jest z nami, a ten przeciw nam. Każdy z nas jest obradowany, więc nie musimy się już słuchać, ale możemy się spokojnie napięczać.

A Hołowni oczywiście to się nie zdarza.

Zdarza się, ale ja lubię sprowadzać opinię do rzeczywistości. Mnie nie interesują poglądy religijne dziennikarza, ale to, czy w opublikowanym przez niego tekście są fakty, czy ich nie ma. A jeśli ich nie ma, to czepiam się tego braku, a nie jego poglądów. Jeśli dziennikarz chce pisać o Kościele, to domagam się od niego faktografii, z którą mógłbym się zmierzyć, a nie przewidywalnych do bólu fobii. Oparta na nich ideologia jakoś mnie nie kręci i dlatego coraz mniej interesuje mnie medialny mainstream rozumiany wyłącznie jako czcza nawalanka.

Czym chciałbyś ją zastąpić?

Chciałbym umieć zacząć od początku. Ale my – ty i ja – tego nie umiemy i wciąż zaczynamy od końca. Gdybyśmy umieli ciekawie, przejmująco, prawdziwie opowiedzieć o Jezusie Chrystusie, tak, by ludziom żuchwy opadły do ziemi, to wiele problemów rozwiązałoby się samych.

Szymon, wbrew temu, co się o nas mówi, nie jesteśmy księżmi czy biskupami. To nie jest nasza robota, bo my jesteśmy publicystami, a nie misjonarzami.

Jesteśmy misjonarzami i powinniśmy nimi być. I dla ciebie, i dla mnie tym, co najważniejsze w życiu, nie jest dziennikarstwo, ale chrześcijaństwo. Bycie chrześcijaninem jest pierwotne w stosunku do bycia publicystą, a to zobowiązuje do nieustannego głoszenia Jezusa Chrystusa.

Życiem, świadectwem, zaangażowaniem – to są zadania świeckiego. A słowem, jak mawiał św. Franciszek, tylko gdy nie uda się głoszenie życiem.

Ja trzymam się w tej sprawie poglądów św. Dominika: „Wszystkim, wszędzie i na wszystkie sposoby”. Powinniśmy wprost głosić Jezusa Chrystusa, bo jeśli od Niego nie zaczniemy i ludzie Go nie poznają, to nic nigdy się nie zmieni i dalej będziemy bić piankę, tylko posypka będzie różna.

Od twojego i mojego głoszenia Chrystusa zmienia się media i świat?

Tak. I tylko w ten sposób można je zmienić. Bo to Chrystus, a nie Terlik czy Hołownia, ma moc zmienić świat. Sorry.

„Newsweek” od twojego głoszenia się nie zmienił?

Bywa. A może w kimś, przez tych dziewięć lat, została choć jedna myśl? Ewangelia mówi jasno: chcą słuchać – mów, a jeśli nie chcą – idź dalej. Nastawaj w porę i nie w porę. To ma być nasza robota, bo jeśli ludzie zaczną relację z Jezusem, to wszystko inne wskoczy na swoje miejsce. A jeśli zaczniemy od debat światopoglądowych, to ludzie się z nami zgodzą albo nie, będziemy piętrzyć argumenty i to będzie fajne, może dla kogoś będzie drogą, ale misjonarstwo per saldo jest bardziej skuteczne niż walki światopoglądowe.

Tyle że już w pierwszych wiekach wśród chrześcijan trwały debaty światopoglądowe. Święty Paweł jasno pouczał o zasadach moralnych...

A ty zawsze o tym samym. Mój świętej pamięci proboszcz potrafił zacząć od Wniebowzięcia, a skończyć na betonowych wylewkach, z tobą, od czego byśmy nie zaczęli, zawsze skończymy na gejach. To jakiś twój szczególnie charyzmat (śmiech).

A wiesz, że akurat nie o gejach myślałem, tylko o zakazie cudzołóstwa w ogóle...

OK. Mów o tym częściej, a na pewno zobaczysz zachwyt w oczach wielu katolików.

Skoro mamy być misjonarzami, to naszą rolą nie jest wprawianie w zachwyt odbiorców, tylko mówienie im prawdy, w którą sami wierzymy.

Zgoda. Ale pamiętajmy, że ludzie nawracają się nie z powodu ostrych napażanek, których nie brakowało od pierwszych wieków, ale od głoszonego z mocą i pasją orędzia o Jezusie Chrystusie, które mówiło im, jak w tym popapranym świecie osiągnąć prawdziwe szczęście. To nie kłótnia Piotra z Pawłem o krew czy obrzezanie nawracała, ale Ewangelia. Spór był przy okazji, a siłą było jednak głoszenie.

Szymonie, żyjemy dwa tysiące lat później i w tym czasie wydarzyło się kilka rzeczy, o których nie można zapominać. Chrześcijaństwo ukształtowało cywilizację, prawo, moralność i nie ma powodów, byśmy z tego rezygnowali, szczególnie że każda z tych rzeczy ma moc wychowawczą, formacyjną, pomaga ludziom, także takim, którzy nie spotkali Jezusa, godnie żyć. Warto więc, byśmy bronili i tych rzeczy, nie zaniedbując samej misji, ale pamiętając, że rolą świeckich jest budowanie lepszego świata doczesnego. Nie każdego możemy nawrócić, ale z każdym możemy rozmawiać o tym, jak stanowić prawo, by możliwie najlepiej chroniło ono każdego.

Nie mam co do tego wątpliwości, a gdybym je miał, nie wyleciałbym z „Wprost”, w którym zatrzymałem mój tekst właśnie odnoszący się do moralności i prawa. Ale ja nie w tym upatruję istoty mojego powołania, również publicystycznego. Wszyscy jesteśmy od tego, by powiedzieć światu o Jezusie Chrystusie. Bo ten świat – jakby to księżowsko nie zabrzmiało – ma jeden podstawowy problem: ludzie Go nie znają. Wszyscy wiedzą, jakie zdanie ma Kościół w sprawie in vitro. Ilu z nich jest w stanie wymienić Osoby Trójcy Świętej? Opowiedzieć, co Jezus mówił uczniom po zmartwychwstaniu? Znać nasze poglądy na temat prawa czy moralności, ale nie znają Zbawiciela. A to w Nim jest moc, to od Niego prawo i moralność się zaczyna.

Ale jeśli jesteśmy w sytuacji podobnej do tej, z jaką mieli do czynienia niemieccy chrześcijanie, a moim zdaniem w takiej właśnie jesteśmy, to znaczy, gdy wokół nas giną ludzie (według Human Life International od 1973 r. na świecie zginęło – tylko w wyniku aborcji – 1 mld 722 mln osób), to najpierw musimy przerwać rzeź, a dopiero później zająć się głoszeniem Ewangelii. Nie możemy się „zdyspensować” od tej walki...

Powinniśmy robić dwie rzeczy naraz. Ludzie są powołani do różnych zadań. Mnie też przerażają liczby, które podajesz, nigdy nie miałem wątpliwości, że aborcja jest zabójstwem, i nigdy nie zamierzałem jej usprawiedliwiać. Ale za swoje zadanie



uznać nie tylko mówienie o tym, czym jest aborcja, ale także wskazywanie, że jedynym wyjściem z tego zakłętą kręgu śmierci jest Jezus Chrystus, który ma moc uzdrowić ludzi tak poranionych albo tak ślepych, że dopuszczają się takich rzeczy. Zwolennicy aborcji muszą doświadczyć Jego mocy, a nie tylko mocy moich argumentów.

A może najpierw mocy prawa, zakazu aborcji, który zastopowałby w jakimś stopniu ludobójstwo nienarodzonych?

Chciałbym, żeby aborcja była zakazana. Jeszcze bardziej chciałbym jednak, by nie musiała być zakazywana, bo ludzie sami z siebie wiedzieliby, że to straszne zło. Jeśli jednak chcesz ze mną gadać nie o tym, jak się wziąć do sumienia, ale bić o prawo, to będę pytał o to, jak ustawić takie prawo w kraju, w którym znaczna część naszych współobywateli myśli w tych kwestiach niestety inaczej niż my.

I wracamy do dyskusji na temat tego, czy możemy narzucać innym swoje poglądy.

Nie. Wracamy do uświadomienia sobie, że każda zmiana prawa aborcyjnego w Polsce jest grzebaniem przy bombie. Przepraszam za porównanie, ono nie dotyczy osób, ale mechanizmu – to trochę jak negocjacje z terrorystą. Musisz w czasie takiej rozmowy zakładać, że ktoś może zabić jeszcze więcej osób, i dlatego musisz ostrożnie wyrywać mu człowieka po człowieku, a nie zabawiać się w demonstracyjne, spełniające ciebie samego gesty. Oflaguj się, pomstuj, potępiaj, krzycz, dokonuj samospaleń – dasz świadectwo, jasne, tyle że ofiar będzie więcej.

Jednak w przypadku większości silnych państw z terrorystami się nie negocjuje, ale wpuszcza się dobrze wyszkolone oddziały specjalne, które ich likwidują.

A Bóg wali piorunami w złoczyńców krzywdzących innych ludzi? A mógłby przecież znacznie szybciej i celniej niż ty. Każdy z nas ma sumienie, każdy z nas dokonuje wyborów i w swoim czasie z pewnością poniesie za nie odpowiedzialność. Mnie obowiązuje przykazanie: „Nie zabijaj”, ja będę się tego trzymał.

Nawet dla ratowania życia niewinnych?

Jeśli mnie pytasz, czy należy przemocą fizyczną powstrzymać aborterów przed dokonywaniem aborcji, to uważam, że to postawienie sprawy na głowie. Gwałt ma się gwałtem odciskać? To nie jest Ewangelia.

W „Trzech rozmowach” Włodzimierza Sołowjowa, dokładnie na ten temat, rozmawiają ze sobą pacyfista i chrześcijanin. Pacyfista przekonuje, że gdy kogoś biją, on będzie go pokojowo przekonywał, ale nigdy nie użyje siły. A na to chrześcijanin odpowiedział mu, że to nie oznacza, iż jest pacyfistą, ale tchórzem, bo są takie sytuacje, gdy zwyczajnie trzeba bronić ofiar.

Co do zasady nie ma sporu, ale ja się zastanawiam, jak to robić, by nie pogorszyć sytuacji ofiar. Ty twierdzisz, że trzeba wprowadzić siły specjalne. Ja uważam, że to absurdałne nakręcanie spirali przemocy.

Nie pytałem o przemoc, bo w tej sprawie się zgadzamy. Pytałem

o prawo i jego zmianę. Ale przejdźmy do działań bezpośrednich. A protesty przed szpitalami czy klinikami aborcyjnymi są jeszcze – twoim zdaniem – działaniem dopuszczalnym?

Tak. Gdy ludzie protestowali pod Szpitalem Bielańskim, mieli moje pełne poparcie. Mnie też napełnia przerażeniem myśl, że można zabić niewinną istotę ludzką tylko dlatego, że ma zespół Downa. Ale w tej walce nigdy nie mogę przekroczyć granicy, za którą ja sam będę stosował przemoc. Kropka.

Świetnie, że napełnia cię to przerażeniem, ale nie słyszałem, byś zaapelował – tak jak apelowałeś o zaprzestanie uboju rytualnego – o prawny zakaz aborcji eugenicznej, czyli takiej, w której mamy do czynienia, jak to ujmuje ustawa, z „trwałym i nieodwracalnym uszkodzeniem płodu”. To najczęstsza przyczyna aborcji w Polsce, a 90 proc. z tych procedur dokonywanych jest z powodu zespołu Downa.

Walczę o różne rzeczy, nie porównuj ich ze sobą, bo to nie ma sensu. Tu rozmawiamy o aborcji i powtarzam, bo wyraźnie chcesz to usłyszeć z moich ust raz jeszcze – aborcja to zawsze zabójstwo. Aborcja eugeniczna to moralny koszmar. Zawsze wyraźnie twierdziłem, że aborcja nigdy nie jest żadnym rozwiązaniem, że pozbawia kogoś życia, komuś innemu często je niszczy. Chciałbym, żeby w Polsce nie dokonywano aborcji. Chciałbym, żeby zabezpieczało to prawo. Kompromis, który w tej chwili mamy, jest zgniły, ale nie wiem, czy należy przy nim majstrować, bo gdy zaczniemy to robić, ludzie, dla których „wyskrobanie” dziecka z downem nie jest moralnym kłopotem, mogą wziąć całą pulę. I co wtedy zrobisz?

Tyle że ten prawny kompromis kosztuje życie 600 osób rocznie.

To jest straszne. Ale czy ty naprawdę nie widzisz, jak wygląda sytuacja w Polsce? Jak rozkładają się nastroje społeczne? Na kogo ludzie głosują? Nie możemy ryzykować teraz rozmontowania tego prawa, bo za chwilę będziemy mieć aborcję na życzenie.

Ćciągle o tym słyszę, ale gdy zaczynamy zbierać podpisy pod projektem całkowitego zakazu aborcji, w trzy tygodnie mamy ich 600 tys., a gdy lewica zaczyna zbierać podpisy pod projektem aborcji na życzenie, w pół roku zbiera 30 tys. podpisów. I to też jest fakt społeczny, który pokazuje, że akurat w sprawie aborcji, dzięki zmianie prawa, ale także wytrwałej pracy choćby fundacji Stop Aborcji i Mariusza Dzierżawskiego, zaczyna się zmieniać nastawienie społeczne.

Świetnie. Ale ktoś jednak w Polsce głosował na Palikota.



Realnie 5 proc. populacji, z czego nieznana bliżej liczba osób zabiła to nie tyle z powodu poparcia dla Palikota, ile na złość proboszczowi.

Niezależnie od tego, z jakich powodów to zrobili, zrobili to.

Na razie, ale z sondaży wynika, że już w następnej kadencji Palikot może podzielić los Leppera.

Bo przegiął z błaznowaniem. Ale jego idee w tej akurat sprawie rozleją się, bo już się rozlewają, na inne partie. Tomek, czy ty naprawdę żyjesz w tym samym świecie? Nie widzisz, że opinia publiczna raczej nie zmierza w kierunku większego umiłowania nauki Kościoła?

Ale, nie tylko zresztą w Polsce, dzięki USC i wytrwałej pracy proliferów, powoli skłania się do obrony życia. W innych kwestiach bywa różnie, ale akurat w sprawie aborcji widzimy przesunięcia we właściwym kierunku.

Może. Ale ja dla siebie widzę inną rolę. Ja mam robić także to, czego ty nie masz czasu robić, bo jesteś na wielkiej wojnie ze złem – pokazywać, gdzie jest dobro. Jaki jest nasz całościowy pomysł na życie, uświadomić ludziom, że katolickie spojrzenie na człowieka ma przynieść im szczęście, że te wszystkie zakazy nie są same dla siebie, ale po to, by bezpiecznie dojechać do wymarzonego celu. Katolicka etyka dotycząca przekazywania życia nie jest wcale represyjna, jest niesamowicie ekologiczna, kładzie nacisk na autonomię i wolność każdego. W ten sposób możemy wyjaśnić wszystko, także kwestie in vitro.

Za zakazem in vitro też byś był? Biskupi w opublikowanym ostatnio dokumencie wprost wzywają do ustanowienia takiego prawa.

Tego w obecnej sytuacji nie da się zrobić.

Ja nie pytam, czy się da, czy się nie da, ale czy należy to zrobić?

Uważam, że powinniśmy przyjąć w tej sprawie inną procedurę. Poprzestając na mówieniu o zakazach, idziemy – również biskupi idą – na łatwiznę. Marzę o tym, żeby komisje episkopatu zaangażowały wreszcie swój niewątpliwý potencjał w tłumaczenie ludziom, dlaczego nie-robienie in vitro ma wielki sens, a nie nieustannie powtarzały, że robienie go nie ma sensu. Jezus też – z tego, co pamiętam – nie tylko straszył piekłem, ale także pokazywał piękno nieba.

Jeśli zaś idzie o prawo, to powinniśmy zacząć od uniemożliwienia tworzenia nadliczbowych zarodków, a także manipulowania nimi. Oczywiście nawet przy takich zastrzeżeniach metoda ta w mojej ocenie nadal będzie nieetyczna, ale w takiej sytuacji powinienem skupić się już na argumentacji, na wskazywaniu lepszej

drogi, a nie na zakazach, bo wprowadziłem jakiś podstawowy wymiar ochrony człowieka.

Nieprawda, bo jeśli zakażesz tworzenia nadliczbowych zarodków, to po pierwsze technika zapłodnienia in vitro stanie się wówczas nieopłacalna, bo jej skuteczność spadnie do 5 proc... Trudno.

... a po drugie ludzie na zarodkowym etapie rozwoju i tak będą ginąć, tyle że nie w lodówkach, ale w trakcie implantacji. I nie ma tu porównania z naturalnym obumieraniem, natura nie ponosi bowiem odpowiedzialności moralnej za śmierć, a człowiek, który podejmuje działania kończące się w 95 proc. przypadków śmiercią osoby, już taką odpowiedzialność ponosi. To zaś oznacza, że ta procedura nadal będzie się wiązała ze śmiercią.

Mój Kościół mówi, że gdy nie da się ustanowić prawa optymalnego, należy głosować za takim, jakie w danym momencie jest z możliwych najbliższe optimum

Nigdy nie dorównam ci w wiedzy dotyczącej ludzkiej seksualności oraz procesów przekazywania życia, poprzestanę więc na tym, co rozpoznaję jako swoje powołanie. Drodze krok po kroku. Mój Kościół wyraźnie mówi, że gdy nie da się ustanowić prawa optymalnego, należy głosować za takim, jakie w danym momencie jest z możliwych najbliższe optimum (nawet jeśli wydaje nam się obecnie dalekie od niego). Nie należy więc ustawać w dążeniu do takiej zmiany prawa, która będzie lepiej chronić życie. A pozostałej w zanadru części sił nie zużywać na kopanie się ze ścianą, ale na powolne jej rozmontowywanie – pokazywanie ludziom, którzy zmagają się z bezpłodnością, że nikt nie czyha na ich szczęście, że do ich przeżyć odnosimy się z wielkim współczuciem. I że sytuacja, w której się znaleźli, jest wyzwaniem, w którym warto nie przekroczyć granicy naruszania autonomii drugiego człowieka, że człowiek to nie prawo, ale dar.

A w tym czasie kolejne zarodki będą trafiały do butli z ciekłym azotem.

Jeśli uda się zrealizować mój pomysł, to już nie będą.

Ale nadal będą umierać.

Tylko wyjaśnij to ludziom, którzy nie „czują”, że to osoba, że to autonomia, że to dar. Ty chcesz ich zmusić, ja chcę, żeby sami dojrzel do właściwej decyzji.

Na jedno żywe narodzone dziecko przypada 20 uśmierconych. To są twarde dane i od nich nie da się uciec.

Gdy jestem w moim sierocińcu w Afryce i umiera mi dziecko, nie biegam z transparentem i nie krzyczę, że to zbrodnia. Moja doba też ma 24 godziny, muszę dokonywać wyborów i wybieram to, że pobędę przy tym dzieciaku, wesprę siostry w rozmowie z rodziną innego dziecka, któremu może stać się krzywda, pójdę się modlić, a dopiero później, jeśli wystarczy mi czasu, pojedę walczyć ze światem o zmianę procedur. Ty walcz o zmianę prawa, ja będę stawał na głowie, żeby dotrzeć do urodzonych z in vitro dzieciaków, by je zapewnić, że nikt ich nie chce piętnować, do tych, którzy zdecydowali się na in vitro, i tych, którzy chcą je zrobić, by zrozumieli, że inna jest droga do szczęścia.

Punkt dojścia mamy wspólny. Powinniśmy się więc zastanowić, czy – mimo różnic strategicznych – jesteśmy w stanie zbudować wspólny front. I nie dopuścić do sprowadzenia chrześcijaństwa do bioetyki. Od jakiegoś czasu wciąż dajemy się wpuszczać na to pole.

Dajemy się wpuszczać, bo to jest jedna z najważniejszych batalii współczesności.

Mamy inne perspektywy. Ty patrzysz na świat z perspektywy europejskiej, a ja więcej jeżdżę po świecie.

Szymon, żyjemy w Europie i jej problemy są naszymi. Wygodnie jest uciec od nich w opowieści o innych krajach, ale nasza odpowiedzialność jest tutaj.

I właśnie to, co mówisz, ten izolacjonizm polskiego Kościoła, najbardziej nam dzisiaj szkodzi.

To nie jest izolacjonizm, to świadomość tego, gdzie żyjemy. Jesteś publicystą w Polsce, piszesz po polsku, działasz w naszym kraju.

Ale jestem częścią Kościoła powszechnego...

... który także w Afryce, Azji czy Ameryce Południowej toczy gigantyczny spór z działaniami depopulacyjnymi, które oficjalnie są finansowane przez rządy Stanów Zjednoczonych czy Unii Europejskiej. Uznawanie więc, że te spory to europocentryzm, jest nadużyciem. Europa narzuca swój światopogląd innym.

Zgoda. Ale Ewangelia to nie przesłanie Jezusa wyłącznie w sprawie depopulacji i in vitro. Ja mam mnóstwo innych problemów ze światem, a także głębokie przekonanie, że jeśli zaczniemy skutecznie głosić Chrystusa, to również bioetyczne problemy zaczną zanikać. Najpierw w mikroskali, serce po sercu, mózg po mózgu. Ja walkę oc

dołu, ty od góry. Każdy sam ocenia, co jest lepsze.

Żeby doprowadzić ludzi do Chrystusa, trzeba najpierw pozwolić się im urodzić. I o to toczy się ta walka.

Ale ty i ja żyjemy. I mnóstwo innych ludzi także. I im trzeba głosić Chrystusa po to, by przemieniać świat. Powtarzam ci – to nie Terlikowski i nie Hołownia zbawiają świat, ale Chrystus. Nie próbuj też ze mnie zrobić siebie. Jesteśmy inni, mamy inne strategie, inną wrażliwość. Ale zgadzamy się co do tego, że świat na przykład bez aborcji to byłby świat o wiele lepszy od tego, jaki jest obecnie.

Używasz chętnie określenia „afirmatywna ortodoksja”, przejdźmy do niego. Nie obawiasz się, że wersja chrześcijaństwa czysto afirmatywna nie bierze pod uwagę ludzkiej natury? Uznaje ona bowiem, że człowiek kieruje się w życiu głównie pozytywnymi wartościami. Jeśli działa moralnie, to z miłości do Boga i prawa, a nie z obawy przed karą. A ja, jeśli przestrzegam przepisów ruchu drogowego, to nie z głębokiej miłości do nich, ale z obawy przed fotoradarem. Nie obawiasz się, że afirmatywne chrześcijaństwo traci z oczu ten wymiar?

Mnie osobiście zawsze bardziej kręciła marchewka niż strach przed kijem. Ty masz pewnie inaczej i dlatego, kiedy ja mówię „afirmatywna ortodoksja”, ty zamiast zwrócić uwagę na drugie słowo, chcesz mnie ubiczować za pierwsze (śmiech). Sama afirmacja nie ma sensu, sama ortodoksja bez afirmacji ma sens, ale wydaje mi się, że jest mało skuteczna.

Tyle że ta afirmatywna wersja ortodoksji prowadzi do tego, że z naszej katechety niemal zniknęło piekło. Ono już nie pojawia się nawet jako możliwość.

Nie mam takiego wrażenia. Ale rozumiem, że ludzie mają problem z piekłem, nie potrafią pogodzić ze sobą obrazu

miłosiernego Boga, który skazuje kogoś na wieczną mękę.

Bóg jest nie tylko miłosierny, ale i sprawiedliwy.

Bóg jest nie tylko sprawiedliwy, ale i miłosierny. Pewnie zauważyłeś, że oprócz Starego Testamentu od jakiegoś czasu mamy też Nowy? Co czytasz w przypowieści o miłosiernym ojcu, do którego wraca splukany finansowo synalek? Jest tu pedagogika? Jest ludzka sprawiedliwość? Co czytasz w przypowieści o wynagrodzeniu robotników z winnicy? Co wychodzi na plan pierwszy – sprawiedliwość czy miłosierdzie? A kanonizacja łotra wiszącego na krzyżu za dwa zdania dobrego życia? Afirmatywna ortodoksja nie ma polegać na tym, żeby ludzi w tych wątpliwościach zagłaskać i powtarzać im, że wszystko „jest zajełbieście”, ale by opowiedzieć im, że chrześcijaństwo jest przede wszystkim Dobrą Nowiną.

Ale w niej jest także prawda o piekle.

Jest. Piekło jest rewersem naszej wolności. Poważne traktowanie wolności prowadzi nas do prawdy o istnieniu piekła.

I prowadzi do niego grzech ciężki?

Tak. Jeśli nie zostanie uzdrowiony i przebaczony. To jest zresztą dość oczywiste. Moja koleżanka kiedyś wyjaśniała innym, dlaczego, jeśli całe życie lekceważyli Chrystusa, będzie im Go trudno wybrać w chwili śmierci. Otóż to jest tak jak z bieganiem i chipsami – siedząc na kanapie, możemy wybrać, czy iść na jogging, czy zjeść paczkę przekąsek. Ale po 20 latach zajądania się chipsami ten wybór stanie się pozorny, bo nie będziemy już w stanie biegać.

Nie zawsze tak jest. Ja zacząłem biegać drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia.

Piotr Pacewicz cię przekonał?

Nie. Waga.

U... Problemy z autoafirmacją?

Nie. Anoreksja. Jednym z jej objawów jest to, że za każdym razem, gdy stoję przed lustrem, mam wrażenie, że jestem za gruby.

Tak właśnie myślałem. Ty mi się już na pierwszy rzut oka kojarzysz ze spustoszeniami, jakie w człowieku wywołuje głodzenie się.

A ty jesz mięso?

Niestety, wciąż tak. Niewiele, ale jednak. Od dłuższego czasu robię wszystko, by z niego zrezygnować.

Dlaczego?

Bo nie chcę być hipokrytą, który najpierw cieszy się widokiem cielaczka czy krówki, a potem akceptuje to, jak okrutnie tego samego cielaczka pozbawia się życia. I dlatego staram się rezygnować z mięsa.

Ale o prawach zwierząt nie zaczniesz mi opowiadać?

Nie mówię o prawach zwierząt, mówię o obowiązkach ludzi. Karygodnie przez nas olewanych, jeśli chodzi o stosunek do reszty stworzenia. Ja na swojej działce robię, co mogę, pomagam, jak umiem, ekologom, organizacjom troszczącym się o los zwierząt, gdy idzie o dietę jakiegoś czasu, jem tylko drób, a i z tym mam poważny etyczny problem... No, zobacz... Ty nie jesteś jednak taki talib, z tobą da się jednak pogadać o wszystkim... Zaczęliśmy od gejów, skończyliśmy na kurczakach...



TOMASZ P. TERLIKOWSKI SPOTKA SIĘ Z CZYTELNIKAMI „DO RZECZY” NA PROFILU NASZEGO TYGODNIKA NA FACEBOOKU W PONIEDZIAŁEK, 22 KWIEŹNIA, O GODZ. 18: WWW.FACEBOOK.COM/TYGODNIKDORZECZY

REKLAMA

STACJA7.PL

Złap pociąg do wiary

TOMASZOWI MACHALE, BRATU W WIERZE
Szymon Hołownia o tym,
jak Tomasz Machałą go „zawstydził”



PO CO NAM TAKI GOŚCIU?
Ks. Artur Stopka zastanawia się, czy możemy sobie pozwolić na to, aby nie mieć w mainstreamie Hołowni

POPRAWNOŚĆ POLITYCZNA A KOŚCIOŁ
Sonda przeprowadzona wśród polskich dziennikarzy
o wolności słowa w mediach

KROK PO KROKU DO... WOLNOŚCI
Przejdź każdy z kroków z Krzysztofem Pałysem OP
i poznaj fundamenty wolności

„DO RZECZY”: Jak w pana ocenie będzie rozwijać się sytuacja polityczna do najbliższych wyborów parlamentarnych?

JAROSŁAW KACZYŃSKI: Jest kilka wariantów. Po pierwsze – wariant prawdopodobnie zakładany dziś przez drugą stronę – czyli trwanie, by w 2015 r., w czasie kampanii, pokazać przecinanie wstęgi i liczyć na to, że to przyniesie Platformie odbicie. Jeśli nie zwycięstwo, to w każdym razie zachowanie władzy. Ale jest też drugi wariant, który wydaje się dziś bardziej prawdopodobny, że wstęgi wstęgami, ale będzie trwał proces destrukcji obozu władzy, który rzeczywistość może doprowadzić do zmiany premiera. Jeśli szukać analogii, to będzie to ktoś w rodzaju Marka Belki, czyli sytuacja jak po upadku rządu Leszka Millera. Kolejny scenariusz to gra Donalda Tuska na przyspieszone wybory, jeśli będzie już wiedział, że nie jest w stanie dłużej władzy obronić. W tej chwili samorozwiązanie parlamentu byłoby odebrane jako kapitulacja Tuska, takie „poddaję się”, więc pewnie będzie wolał tego uniknąć. Ale może być tak, że będzie tak duży nacisk społeczny, że Tusk wyjdzie i powie: „Proszę bardzo, rozwiążmy parlament”. A to z kolei nas stawiałoby w trudnej sytuacji.

Dlaczego w trudnej? Przecież chcecie rządzić.

Owszem, chcemy rządzić, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale żeby rządzić, lepiej jest mieć wybory w momencie, kiedy obecna władza zostanie już właściwie oceniona przez wyraźną większość społeczeństwa. W tej chwili ten proces zmiany oceny dopiero z lekka się zaawansował.

Wielokrotnie pan mówił, że rządy Platformy szkodzą Polsce. Skoro rząd jest fatalny, to chyba im szybciej się go odsunie od władzy, tym lepiej?

Polityk odpowiada też za skutki. Zadaniem polityka jest ważyć, czy skutek będzie dobry, czy w istocie będzie zły. Można się cieszyć na chwilę z wcześniejszych wyborów, a potem może się okazać, że nawet jeśli my te wybory wyraźnie wygramy, to rządzić będzie kto inny. Przypadek rządu Dzurindy przeciwko Mečiarowi na Słowacji jest tutaj bardzo instruktywny (w 1998 r., gdy partia Mečiar – HZDS – wygrała wybory, Dzurinda stworzył koalicję wielu partii przeciwko Mečiarowi, odsuwając HZDS od władzy; sytuacja powtórzyła się w 2002 r. – przyp. red.). Podobnie jak w 2010 r., gdy wybory wygrał tam Fico, a przez dwa lata rządziła koalicja złożona z opozycyjnych partii. Może być więc tak, że koalicja przegranych partii rządzi.

Wcześniejsze wybory to wariant prawdopodobny?

To wariant, który uznają za najmniej prawdopodobny, ale którego nie wykluc-

WYWIAD

Chcę uratować Polskę przed dwiema katastrofami

Z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem Prawa i Sprawiedliwości



rozmawiają Bronisław Wildstein
i Kamila Baranowska

czam. Repulsja społeczna wobec rządu może zmienić się w akcję czynną na bardzo dużą skalę. A Tusk poddany tak potężnemu naciskowi społecznemu nie będzie miał wyjścia.

A pan z kim może wejść w sojusz?

Ja? Nie wiem. Może z Adamem Lipińskim (śmiech).

Wydawać by się mogło, że naturalnym kandydatem, gotowym na koalicję z każdym, jest PSL.

PSL jest postkomunistyczną formacją. I to, co kiedyś powiedział Smolar, że Pawlak nie może wejść z nami w sojusz, bo go powieszą, okazało się prawdą. To było wtedy, kiedy po wyrzuceniu z rządu Samoobrony rozmawialiśmy z PSL. Tam jest za dużo różnych związków, więc nie sądzę. Musimy sami wygrać wybory.

A gdyby powstała nowa partia, powiedzmy – konserwatywno-liberalna?

Nie jestem od tego, by kreować konkurencyjne partie. Uważam, że system, w którym w parlamencie działają trzy–cztery partie, jest zupełnie dobry, a nie byłoby też żadnego nieszczęścia,

gdyby były tylko dwie. Wolałbym, aby taka umiarkowanie liberalno-konserwatywna frakcja była w mojej partii, o ile byłoby to w granicach rozsądku. Nie wierzę i nigdy nie wierzyłem w nowy światopogląd naukowy, który powstał po 1989 r., czyli uznanie, że historia się skończyła, liberalizm ostatecznie opisał przynajmniej ekonomię, a rynek rozwiązuje w gruncie rzeczy wszystkie problemy.

Nawet Donald Tusk doszedł ostatnio do wniosku, że jest socjaldemokratą. Zaskoczył pana tą deklaracją?

Nie jestem w stanie zliczyć tych wszystkich zmian postawy Donalda Tuska, choć przyznaję, że nie zajmuję się na co dzień tuskologią. W każdym razie ja go pamiętam jako integralnego liberała. Pamiętam go też jako ostro antykościelnego, potem jako zwolennika umiaru w relacjach z Kościołem, potem przed ołtarzem – po 20 latach małżeństwa. Pamiętam go, jak później znów nie chciał klękać przed Kościołem. Pamiętam też, jak deklarował Monice Olejnik, że jakkolwiek wspólna praca z Olechowskim przekreślił całe jego życie. Przysięgał, że nie będzie brał

pieniędzy z budżetu dla partii. Kiedy mój brat Leszek poznał środowisko liberałów Tuska, to opowiadał mi o fajnych, sympatycznych chłopakach, z którymi miło się rozmawia, tylko jest z nimi jeden kłopot – że kłamią, że tak strasznie kłamią. To była właśnie pierwsza charakterystyka tego środowiska, jaką usłyszałem.

A zakłada pan, że w Platformie może nastąpić rozłam?

Dezintegracja jest już widoczna gołym okiem, już jako powoli się aktualizująca możliwość. Jeżeli po wywiadzie Tuska dla „Polityki”, w którym mówi, że idzie w kierunku sojuszu z Millerem, dotychczasowy główny zwolennik tego sojuszu natychmiast to kwestionuje – mam tu na myśli Grzegorza Schetynę – dołącza się do tego oczywiście Jarosław Gowin, ale i Marek Biernacki, co nie jest bez znaczenia, to pokazuje, że sytuacja Tuska, który był spoiwem partii, jest zupełnie inna niż pół roku temu. Dezintegracja jest oczywista, jeśli z niej zrodzi się coś pozytywnego, coś, co będzie dla Polski, to tak. Tylko jeśli mam oceniać działalność Jarosława Gowina w Ministerstwie Sprawiedliwości, to włos dęba staje.

Dlaczego?

To, co ma wejść teraz pod obrady, to są takie zmiany w kodeksie postępowania karnego, po których co bardziej posażny przestępca będzie nie do skazania. Takich kontrowersyjnych zmian firmowanych przez Gowina jest więcej. A ja nie mam zamiaru przejmować władzy po to, żeby pomagać przestępcom. Uważam zresztą, że te różne zaniżenia poziomu przestępstw – na przykład to, że mamy o połowę mniej zabójstw niż w 2001 r. – to wynik kwalifikowania zabójstw jako pobicie ze skutkiem śmiertelnym, zaginięcie czy wypadków.

Chce pan walczyć w wyborach o fotel premiera, czyli o władzę. Jednym z zarzutów formułowanych pod adresem obecnie rządzących – także z pana strony – jest to, że traktują władzę jako dobro samo w sobie, i to im wystarcza. Pan podkreśla, że tak władzy nie traktuje. Po co zatem panu władza?

Jestem przekonany, że w Polsce potrzebny jest rząd, który będzie w stanie przeciwstawić się dwóm wielkim niebezpieczeństwom, z których wynikają kolejne. Pierwsze i najbardziej doraźne to niebezpieczeństwo pogłębiania się kryzysu gospodarczego w Polsce przy jednoczesnym prowadzeniu polityki założonych rąk, polityki, która wynika z paradygmatu liberalnego, a która się nie sprawdza. Odrzu-

nie naszego projektu, dotyczącego tworzenia nowych miejsc pracy, jest tego ostatnim przykładem. Można się spierać, czy on przyniósłby 1 mln 200 tys. miejsc pracy, czy mniej, ale jest to jakiś pomysł. Tymczasem po drugiej stronie jest założenie, że poza różnego rodzaju sztuczkami w sfe-

rze finansów w gruncie rzeczy nie należy robić nic. A to grozi rozlicznymi konsekwencjami we wszystkich dziedzinach życia, włącznie z mechanizmem wypychania ludzi z Polski do marnej pracy na Zachodzie.



■ A drugie niebezpieczeństwo, o którym pan wspominał?

Drugie niebezpieczeństwo wiąże się z zagrożeniem kulturowym. Mamy dzisiaj w Polsce prowadzoną z wewnątrz, ale wspieraną z zewnątrz i tam mającą swoje źródła (bo nie ma u nas autonomicznych wewnętrznych źródeł tego rodzaju rewolucji obyczajowej) ofensywę kulturową, która ma wysadzić w powietrze naszą tradycję narodową, w tym takie instytucje, które wydawały się do niedawna poza dyskusją. Wszystkie relacje z rodziną na czele budowane przez wieki, które jeszcze niedawno wydawały się niemożliwe do podważenia, są w tej chwili kwestionowane. Ten mechanizm, który kiedyś Dmowski opisał słowami, że jeśli coś jest na Zachodzie grypą, to u nas gruźlicą, może się sprawdzić. Tylko że poziom rozkładu u nas może być większy, bo my nie dysponujemy rezerwami kulturowymi, materialnymi, które zmniejszają skutki takiej destrukcji.

Krótko mówiąc – zatrzymać kryzys i przywrócić rozwój, zatrzymać rozbijanie polskiej kultury i przywrócić jej normalny kształt. Przywrócić szanse Polski na rozwój gospodarczy, demograficzny, zachęcić Polaków, by wracali do Polski, aby to rozproszenie Polaków zostało zatrzymane i w możliwie wysokim stopniu odwrócone. Przypominam, że w wypadku Hiszpanii 88 proc. ludzi, którzy wyjechali, wróciło. To są cele generalne, choć oczywiście one rozkładają się na mnóstwo innych celów, odnoszących się m.in. do suwerenności Polski.

To znaczy?

Polska nie może być krajem, który traci suwerenność w ramach procesów w Unii Europejskiej – zarówno tych faktycznych, które postępują poza prawem europejskim, takiego hegemonizmu, który się dzisiaj wyjątkowo mocno przejawia, jak i takich, które są w Unii planowane – mówię tu o koncepcji federacyjnej, która skazuje nas na wieczną peryferyzację, bo jeżeli nie mamy własnego ośrodka dyspozycyjnego także w sferze ekonomicznej, to w żadnym razie nie jesteśmy w stanie nadrobić tej różnicy, która dzieli peryferie od nieperyferii. To jest cel odnoszący się także do Wschodu, do zagrożeń związanych z próbami przywrócenia statusu Polski jako rosyjskiej strefy wpływów. To wszystko jest kwestią statusu Polski, czyli czegoś, co jest trwałe, ale jest też kwestia pozycji Polski, czyli czegoś, co zmienia się, jeśli chodzi o państwa, znacznie częściej, ale co jest też bardzo istotne. My w tej chwili tego rezerwuaru lewarowania polskiej pozycji nie wykorzystujemy, a taka możliwość jest, choć niełatwa, na kierunku południowym.

Na kierunku wschodnim jest gorzej, niż było, ale można odwrócić ten trend.

Pan mówi o sojuszach z krajami w myśl koncepcji jagiellońskiej.

Nie lubię używać sformułowania „koncepcja jagiellońska”, bo ono jest mylące. Polityka wschodnia, którą myśmy prowadzili, polegała na tym, by Polska zdobywała na Wschodzie dobre stosunki, możliwości wpływania na rzeczywistość, co bardzo umacniało nie tyle polski status, ile polską pozycję. To bywało konsumowa-

Do osiągnięcia tych celów są potrzebne określone środki, silne państwo. Z tym jest problem. Weźmy na przykład wymiar sprawiedliwości – co do tego, że on nie działa tak, jak powinien, nikt nie ma chyba wątpliwości. Mamy do czynienia z silną korporacją, której status nie jest wcale uzależniony od tego, kto wygrywa wybory. Jak pana zdaniem władze wybrane w wyborach, działające zgodnie z zasadami demokracji, mogą doprowadzić do głębokiej reformy tego segmentu państwa?

Problem korporacjonizacji aparatu państwowego, bo o tym tak naprawdę mówimy, jest mocno podkreślany w naszych pro-



ne zupełnie bezpośrednio. Nie udało by się zrobić rzeczy, która dziś na pozór może wydawać się bez większego znaczenia, ale ma znaczenie, a w przyszłości może mieć jeszcze większe, jak np. podtrzymanie zapowiedzi, że Gruzja zostanie przyjęta do NATO, gdyby Leszek nie był w stanie zbudować koalicji. A nie byłby w stanie tego zrobić, gdyby nie było wiadomo, że ma bardzo dobre relacje na Wschodzie, że jest tam w ofensywie. Krótko mówiąc, przywrócenie polskiej polityce zagranicznej charakteru, który Polski nie degraduje, tylko podnosi jej status i pozycję, jest niezmiernie ważnym celem.

gramach partyjnych od wielu lat. Zdajemy sobie sprawę, że będzie to proces bardzo trudny. Przy braku większości konstytucyjnej będziemy musieli przeprowadzić ostry bój, ale będziemy go prowadzić i będziemy proponować zmiany prawne, które będą zmierzały do tego, by przywrócić sądy państwu. Bo one są dzisiaj poza państwem, to jest korporacja pozapaństwowa. To jest właśnie koncepcja państwa, którą wyznaje Tusk – luźnej federacji różnych korporacji i grup nacisku. Chcąc to zmienić fundamentalnie, trzeba jednak nowej konstytucji. Co nie znaczy, że zwykłymi ustawami nie można niczego zdziałać. Często wystarczą

zmiany o charakterze organizacyjnym, weźmy choćby sposób rejestracji spraw sądowych. W tej chwili jest tak, że to sędzia dyktuje protokół w trakcie rozprawy i jeżeli ktoś nie ma obrońcy albo obrońca jest mało aktywny lub sędzia zdeterminowany, to fragmenty rozprawy nie znajdują się w protokole. Dla mnie takim najistotniejszym wydarzeniem dobrze oddającym patologię systemu sądownictwa była prowokacja dziennikarska wobec prezesa sądu w Gdańsku. Ona została niedoceniona w Polsce.

Polska nie może być krajem, który traci suwerenność w ramach procesów w UE. Przywrócenie polskiej polityce zagranicznej charakteru, który Polski nie degraduje, tylko podnosi jej status, jest niezmiernie ważnym celem

jest, jeśli nie robią, to można przeżyć nawet aferę hazardową, gdzie przez pierwsze dwa-trzy dni media zachowywały się normalnie (Platforma straciła wówczas 8 pkt proc. poparcia), by zaraz później stwierdzić, że winni są nie złodzieje, lecz policjanci.

Media są świadomością społeczną i bez ich wsparcia trudno jest dokonać jakiegokolwiek oczyszczenia.

Są jeszcze media publiczne, choć patrząc na to, co się tam dzieje, nie wykluczam, że jest dążenie do ich likwidacji, ale jeszcze są. I to jest być może jakaś szansa. Są telewizja Republika i telewizja Trwam, są inne inicjatywy, które mogłyby tę sytuację na rynku wyrównać. Być może należałoby wprowadzić nowe reguły gry, oczywiście mieszczące się w ramach wolności mediów i demokracji. Bo rzeczywiście reformy w tej dziedzinie, żadnej trwałej zmiany, się nie uzyska. Trzeba też pewne mechanizmy likwidować. Jeżeli na przykład przepisy o ochronie dóbr niematerialnych, czyli o ochronie czci, są wykorzystywane przez społecznie silnych przeciwko słabszym – przez Michnika przeciw Rymkiewiczowi – to należy je po prostu znieść, przynajmniej na jakiś czas, a później spróbować je skonstruować tak, by to utrudnić.

Problem jest nie tylko z sądami. Cała administracja państwowa działa jak osobna korporacja.

Korporacjonizacja jest dwóch rodzajów. Prawna to sądy, wewnątrz aparatu państwowego. I jest też korporacjonizacja faktyczna, czasem mająca jakieś przesłanki prawne, czasem nie. W Polsce wciąż obowiązują pewne stereotypy, że na przykład wystarczy stworzyć dobrą służbę cywilną, i to rozwiązuje ileś problemów. To ja odpowiadam: proszę stworzyć w Polsce, przy tej sytuacji kulturowej, dobrą służbę cywilną, która nie będzie uważała, że jest dużo mądrzejsza od polityków, i szybko się nie zwiąże z establishmentem. Każdy korpus polskiej administracji ma dzisiaj cechy korporacji. Z bardzo silną wewnętrzną lojalnością i własnymi regułami gry, które są dysfunkcyjne z punktu widzenia celów założonych przez prawo.

Śledzi pan sytuację na Węgrzech. Jak pan ocenia reformy Fideszu?

Dosłownie tuż przed naszą rozmową miałem spotkanie z ambasadorem węgierskim. Zmiany na Węgrzech oceniam bardzo pozytywnie także w tych wymiarach, które są najbardziej kwestionowane. Tak jak dobrze oceniam początkową deklarację Orbána, którą w moim przekonaniu trzeba umieć powtórzyć także w Polsce: że nie będziemy kolonią.

Fidesz rzeczywiście próbuje zabezpieczyć kraj przed recydywą choroby, jaką były rządy lewicy, które same się zdefiniowały słowami: „Kłamaliśmy rano, nocą i wieczorem”. I te zmiany zabezpieczające, takie jak choćby wydłużanie kadencji różnych organów, są w pełni uzasadnione.

Orbán dobrze się wcześniej do tego przygotował. Stworzył ruch społeczny, który potem w dużej mierze inkorporował do partii. Stworzył potężną siłę społeczną, która mogła być kołem zamachowym tych zmian. Nie widać, by PiS posiadał dziś taki potencjał.

Jeżeli chodzi o wolę kierownictwa partii – przynajmniej tę deklarowaną, bo co jest w sercach, tego nie wiem – to jest u nas wola zdecydowanego rozszerzania się partii na nowe środowiska. Nawet przy najbardziej otwartej partii, przy przyciąganiu do serca przez każdego posła i senatora oraz każdego działacza w terenie, nie jesteśmy w stanie stworzyć partii, która by do Warszawy ściągnęła 3,5 mln ludzi. Jest tak, że oni tam są zmobilizowani w dużo wyższym stopniu niż w Polsce. Wiecie, jaka na przykład była frekwencja w pierwszych wolnych wyborach na Słowacji? 97 proc. – to jest absolutny rekord, ona potem się obniżała, ale wciąż jest bliżej 80 niż 70 proc.

Jak to się ma do Polski? Działamy w innych warunkach. Mówienie, że jesteśmy w analogicznej sytuacji co Węgry, jest niezgodne z prawdą.

A co z tworzeniem otuliny wokół partii: think tanków, organizacji społecznych etc.? Jeden Instytut Sobieskiego wiosny nie czyni.

W tej chwili są przynajmniej trzy takie wspierające nas grupy. Jest Instytut Sobieskiego, jest środowisko skupione wokół prof. Glińskiego i do tego jest naprawdę spore środowisko Polska Wielki Projekt. Łącznie to są setki ludzi, którzy w tym wszystkim biorą udział. Pod tym względem jesteśmy w sytuacji nieporównanie lepszej niż w 2005 r. Nie jest to sytuacja idealna, ale proszę zwrócić uwagę, że w naszych eksperckich debatach, do których jesienią chcielibyśmy wrócić, uczestniczyli najróżniejsi ludzie. Dość szeroko te sieci zarzucały i nie jest tak, że nic się nie dzieje na tym polu otwierania się na nowe środowiska. Oprócz tego jest Ruch im. Lecha Kaczyńskiego, są Kluby „Gazety Polskiej”, jest niezwiązany z nami, ale idący w podobnym kierunku ruch Solidarni 2010.

Nie żał środowiska Fundacji Republikańskiej, które odplynęło od PiS wraz z Przemysławem Wiplerem?

Żałuję każdego posła, który odchodzi. Wolałbym, aby poziom uczciwości i lojalności w polityce był wyższy. Cały mechanizm demokratyczny opiera się na kulturze,

REC. BEZ DOKŁ.

Przecież media o tej sprawie pisały...

Nie wybuchła wokół tego afery, nie było skandalu. Rzeczywistość, którą stworzyła PO, zlikwidowała jeden z podstawowych mechanizmów samooczyszczania się społeczeństwa i życia publicznego. Chodzi tu o skandal w rozumieniu socjologicznym. O ostrą repulsję wobec jakiegoś wydarzenia, repulsję, która ma charakter stały i wymusza zmiany. Po Rywinie był skandal. Skandal nie jest czymś, co istnieje wyłącznie w świadomości społecznej. Świadomość społeczna jest funkcją działania pewnego mechanizmu, głównie medialnego. Jeżeli media robią z czegoś skandal, to on

■ która wywodzi się z kultury obywatelskiej. Bez tego w zasadzie ten mechanizm nie może funkcjonować.

Już Max Weber, a z Polaków Leon Petrażycki opisywali, że jeżeli nie ma elity, która działa z powodów nieinteresownych, z motywacji wyższych, to wszystkie mechanizmy społeczne związane z normalnym funkcjonowaniem systemu demokratycznego są nie do utrzymania. To mnie martwi, bo to jest niehonorowe postępowanie. Jeśli się przyjęło pewne zobowiązania, to trzeba je realizować. Nikt mu krzywdy nie robił, nikt nie wymagał od niego, by wstał i przysiągł, że będzie teraz strzelał do liberałów albo że precz z republiką. Inna sprawa, że my mówimy jasno – co do paradygmatu liberalnego mamy daleko idące wątpliwości. Z hasłami „Zero państwa”, „Zero zasad”, „Zero empatii”, „Zero solidarności społecznej” nie jest nam po drodze.

Jakie są zatem pomysły PiS na pobudzenie gospodarki, na przestawienie wektorów, które w pana ocenie źle funkcjonują? Samo stwierdzenie, że potrzeba więcej solidarności, nie opisuje mechanizmu gospodarczego.

Zapewniam, że rozróżniam to, co jest postulatem dotyczącym kształtu życia społecznego, od tego, co jest realnym mechanizmem gospodarczym. Uprawnianie polityki gospodarczej, tak jak to się czasem zdarzało różnym politykom, sprowadzające się do pewnych postulatów, jak powinno być, bez odpowiedzi, jak do tego doprowadzić, jest bez sensu. My widzimy rezerwy w polskiej gospodarce. Widzimy rezerwę w naprawie finansów publicznych, które są w fatalnym stanie nie z powodów obiektywnych, bo tort do podziału jest większy niż był, tylko ze względu na tragiczny stan całego mechanizmu z tym związanego.

Obowiązują stare ustawy, które powodują, że jedni nie płacą podatków w ogóle, a inni płacą je na zasadzie opresywnej. Jest całkowita arbitralność – jeśli do ustawy o VAT jest około 100 tys. interpretacji, to znaczy, że ona praktycznie w ogóle nie obowiązuje, bo obowiązuje to, co mówią nieco wyższej rangi urzędnicy w aparacie finansowym. Interpretacje izb też są różne. Prawa obywatelskie są dziś w rękach urzędników.

Dostrzegamy też potrzebę zmniejszenia opresji administracyjnej wobec tych, którzy zajmują się działalnością gospodarczą. Potrzebna jest jednak różnego rodzaju aktywność państwa, wspieranie tą czy inną metodą – konieczne jest wywołanie procesu reindustrializacji Polski.

Mamy za chwilę kongres, na którym zostanie zaprezentowany program. Jest właśnie przygotowywana ustawa antykrzysowa. Zapewniam, że tym razem nie będzie tak jak w 2005 r., kiedy zakładaliśmy, że będziemy mieć współwładzę. Nie mieliśmy wtedy planu na wszystko, bo zakładaliśmy, że nie będziemy rządzić całością, a tak wyszło. Nasz plan w wielu aspektach, np. w kwestii oświaty, był rozsądny. Tyle że Giertych wprowadzał ten plan po swojemu. Myśmy byli za edukacją patriotyczną, ale niekoniecznie za pomocą Dobraczyńskiego. Dobrych pomysłów było sporo. Można zdziałać dużo pod warunkiem, że rządzi grupa dobrze do tego przygotowana i nie jest to grupa, która żadnymi celami poza własnymi interesami nie jest zainteresowana, a tacy ludzie dzisiaj rządzą Polską.

UE jest na rozdrożu. Cameron proponuje odejście od obecnej koncepcji Unii, ale są próby większej integracji. Polska mówi o unii walutowej. Jaka jest pana wizja?

[w książce Cenckiewicz a o Lechu Kaczyńskim] zaskoczyło mnie dosłownie kilka rzeczy. Jedną z nich była sprawa zarejestrowania mojej bratowej jako Kontaktu Operacyjnego SB

Mówiąc najkrócej: Unia powinna trwać, powinna zostać zreformowana, ale nie w stronę federacji, bo to jest projekt, który zakłada nie tylko unię walutową, ale i polityczną z nieodległymi terminami, jeśli chodzi o realizację. Tutaj jest nasze zdecydowanie „nie”. Pojawia się oczywiście pytanie, czy uda się stworzyć nieco większy sojusz w UE, który miałby podobne do naszych dążenia. Reforma Unii musi być w dużej mierze radykalnym ograniczeniem ogromnej biurokracji, gigantycznej wręcz działalności regulacyjnej, która reguluje to, czego nie powinna regulować, a po drugie jest w radykalnej sprzeczności z zasadą pomocniczości, na którą sama Unia się przecież powołuje. Zasada pomocniczości polega na załatwianiu spraw na najniższym możliwym szczeblu, a tu się załatwia na najwyższym. Unia jest tak skonstruowana, że z jej perspektywy dobry jest szczebel unijny, który we wszystko się pcha, i szczeble poniżej państwa. Natomiast państwo narodowe jest kwestionowane.

W najbliższych dniach ukazuje się książka Sławomira Cenckiewicza poświęcona Lechowi Kaczyńskiemu – pierwszy tom biografii politycznej prezydenta. Pan już ją czytał. Coś pana zaskoczyło?

Z natury rzeczy większość informacji jest mi znana i dość oczywista, zaskoczyło mnie dosłownie kilka rzeczy. Jedną z nich była sprawa zarejestrowania mojej bratowej jako kontaktu operacyjnego SB, o czym nie wiedziałem. Kiedy jednak od autora dowiedziałem się o dalszych losach tej rejestracji, a bratanica opowiedziała mi o szczegółach tej sprawy, uspokoiłem się. Bo jeśli ktoś zaraz po tym, jak został zarejestrowany, zostaje schowany do archiwum, czyli wyrejestrowany, i nie ma żadnych dowodów na jego działalność, żadnego podpisu, niczego, co by wskazywało na współpracę, to sprawa jest dość oczywista. A opowieść bratanicy dała mi obraz całej sytuacji.

Jako to wyglądało?

Marylka pracowała wówczas w Instytucie Morskim i odznaczała się tym, że znała wiele języków. Marcie już jako 18-czy 20-letniej dziewczynie kolega zwrócił uwagę na fakt, że skoro jej matka pracowała w instytucie, znała tyle języków, wyjeżdżała za granicę, to musieli do niej dotrzeć.

Marta zapytała o to swoją mamę, a Marylka opowiedziała jej, że owszem, przyszli do niej. Mówiła im, że o wszystkim musi opowiedzieć koleżankom, oni mówili, że nie wolno nic mówić, ona – że tak nie można. Jednym słowem, zbyła ich. Z dokumentów wynika, że niemal natychmiast została wyrejestrowana. Potem jej nazwisko pojawia się już wyłącznie w kontekście jej samochodu, wykorzystywanego przez opozycję. Poza tym z własnego doświadczenia wiem, że bezpieka tworzyła mnóstwo nieprawdziwych dokumentów. Wiem to po swoich papierach, z których wynika na przykład, że mieszkałem z Eleonorą Kaczyńską, a nigdy na oczy nikogo takiego nie widziałem. Trochę inaczej wygląda sprawa sprawozdań tajnych współpracowników czy kontaktów operacyjnych, ale jeśli chodzi o ich wewnętrzne notatki, to gdy przeczytałem, co o mnie pisali, to było to nawet komiczne, najwyraźniej wszystko im się całkowicie mieszało.

Bardzo jestem wdzięczny autorom, zwłaszcza Sławomirowi Cenckiewiczowi, za to, że się podjęli napisania tej książki, bo to była piekielnie trudna sprawa. Leszek nie zostawił pamiętników, ludzie, z którymi współpracował, znaleźli się po bardzo różnych stronach sceny politycznej. Niektórzy nie chcą nic mówić, niektórzy kłamali w różnych sprawach publicznie. A środowisko towarzyskie, w którym żył, rozspalało się po świecie, a jeśli chodzi o to starsze pokolenie, to ono już odeszło. Nie było łatwo to wszystko odtworzyć.

WYWIAD

Polska nie ma powodu, żeby bać się Rosji. Ten kraj nie jest w stanie pokonać przeciwnika silniejszego od Gruzji – mówi Wiktor Suworow. Z rosyjskim pisarzem i byłym oficerem GRU



rozmawia Piotr Zychowicz

Rosja niedługo zniknie z mapy



PIOTR ZYCHOWICZ: Niedawno mogliśmy zobaczyć siłę Rosji. Kraj ten przeprowadził wielkie manewry wojskowe. Jest się czego bać?

WIKTOR SUWOROW: Nie, nie ma się czego bać. Te manewry nie są wcale dowodem siły Rosji, są dowodem jej słabości. Gdy już nie ma się ludziom niczego do pokazania, wyprowadza się wojska w pole, żeby zademonstrować, że nadal ma się mocną pozycję. Nikt się na to jednak w Rosji nie nabierze.

Dlaczego?

Ponieważ Rosjanie widzą, dokąd zaprowadziły ich rządy obecnego reżimu. Władimir Putin jest u władzy od roku 2000, czyli 13 lat. I jakie są jego osiągnięcia? Jakie są osiągnięcia Rosji? Rosja się wali.

Wojsko nadal ma jednak silne.

Odwołam się do przykładów historycznych. Gdy wybuchła I wojna światowa, wszystkie córki cara Mikołaja II – oprócz Anastazji, która była zbyt młoda – zgłosiły się do szpitali wojskowych jako sanitariuszki. Gdy wybuchła II wojna światowa, synowie Stalina walczyli w Armii Czerwonej. Jeden był pilotem myśliwca, drugi oficerem artylerii. Czy wyobraża pan sobie, żeby dzieci Putina albo któregoś innego z naszych upasionych oligarchów poszły dzisiaj na front?

Nie bardzo.

No właśnie. Te dzieci zostałyby natychmiast ewakuowane w bezpieczne miejsce. Razem z rodzicami. Reżim Putina nie ma już nic wspólnego z narodem i państwem, oprócz tego, że w sposób beczelny okrada obywateli. Dlatego Polska nie musi się

obawiać prężącej muskuły Rosji. Rosjanie nie będą walczyć za jachty Abramowicza i luksusowe rezydencje Putina.

Tak jak nie walczyli w 1941 r. za Stalina i innych bolszewickich komisarzy?

Dokładnie. Z moich informacji wynika, że w szeregach armii Federacji Rosyjskiej nastąpiła całkowita i ostateczna demoralizacja. Wojsko może jeszcze urządzić manewry, ale nie jest już w stanie walczyć. Oficerowie niskiego i średniego szczebla są nastawieni antyreżimowo. Jeszcze bardziej Putina nienawidzą szeregowcy. Jeżeli więc rozkazałby wojsku rozpocząć wojnę z jakimś krajem, na przykład z...

... Polską...

Gdyby Putin rozkazał wojsku rozpocząć wojnę z Polską, to wojsko by tego rozkazu

i nie dostrzega potwornego kryzysu, który trawi społeczeństwo. Nie liczy się z własnym narodem. W efekcie gdyby Rosja wydała dzisiaj setkom tysięcy żołnierzy automaty Kałasznikowa wraz z ostrą amunicją, wojskowi skierowaliby je przeciw reżimowi. Doszłoby do rebelii.

Dlaczego?

Dlatego, że dysproporcja między olbrzymim bogactwem ludzi reżimu a permanentną, zatrważającą nędzą zwykłych Rosjan przekroczyła już punkt krytyczny. Zwykli Rosjanie, którzy żyją w warunkach uwłaczających ludzkiej godności, gnieźdzą się w rozwalających się blokach i harują za głodowe pensje, na co dzień oglądają swoich oligarchów. Widzą ich pędzące przez Moskwę limuzyny, ich prywatne samoloty, luksusowe rezydencje i chodzące w futrach kochanki.

Jak to możliwe, że minister kolejnictwa za skromną pensję buduje warte miliony dolarów pałace? Ta władza zatraciła instynkt samozachowawczy. Gardzi swoim narodem do tego stopnia, że nawet nie ukrywa własnych grabieży. A jej pazerność jest niebywałą.

Do tego dochodzą konflikty na tle etnicznym.

To kolejna gangrena, która toczy to państwo. Rozsadza je od środka. Przyjrzyjmy się Moskwie, gdzie napięcia między przedstawicielami różnych nacji i religii są niezwykle silne. Spośród mieszkańców stolicy Federacji Rosyjskiej zaledwie 31 proc. to Rosjanie. Reszta to Tatarzy, Czeczeni, Azerowie, Uzbegy, Tadjycy, Turkmeni i inni. Reprezentowane są tam wszystkie narody byłego Związku Sowieckiego. Do tego Wietnamczycy i Chińczycy.

Dlaczego przyjeżdżają do Moskwy?

Ponieważ Moskwa jest jak polip, który wysysa wszystkie soki życiowe z Federacji. Zyski ze sprzedaży surowców nie rozplywają się równomiernie po całym państwie, ale trafiają do stolicy. Wszystko ląduje w kieszeni Putina i stojącej za nim sitwy byłych oficerów KGB. To powód olbrzymiej frustracji na prowincji. Jednak nie tylko. Na ulicach Moskwy wręcz fizycznie wyczuwa się nienawiść. Nienawiść wszystkich obywateli do reżimu oraz obywateli różnych narodowości do siebie nawzajem. Do tego dochodzi panosząca się bezkarnie mafia. Gdyby doszło do wojny, wszystko to by eksplodowało. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, co by się wówczas stało z moją piękną Moskwą.

Wszyscy skoczyliby sobie do gardeł?

Tak. Moskwa zamieniałaby się w strefę wojny.

A co by się stało z państwem rosyjskim?

Używa pan trybu przypuszczającego, a ja jestem przekonany, że mówimy o scenariuszu, który niedługo się zrealizuje. Nie chodzi oczywiście o wojnę Rosji z którymś z sąsiadów – bo to jest mało prawdopodobne – ale o załamanie się wewnętrzne tego kraju. Przede wszystkim w Rosji występują olbrzymie napięcia między poszczególnymi regionami i miastami.

Słynna rywalizacja na linii Petersburg – Moskwa?

Na przykład. Petersburg, który uważa się za miasto bardziej europejskie, bardziej cywilizowane niż „azjatycka” Moskwa, patrzy na stolicę z pogardą. Nie odpowiada mu rola miasta numer dwa.

Rozumiem, że podczas rozpadu Rosji powstałyby dwa państwa ze stolicami w Petersburgu i Moskwie.

To na pewno będzie jedna z linii podziału. Kraj ten rozpadnie się jednak na większą liczbę organizmów. Dzisiaj największa

Rosjanie nie będą walczyć za jachty Abramowicza i luksusowe rezydencje Putina

rywalizacja jest między Rosją a Kazaniem, stolicą Tatarstanu. Tatarzy są narodem, który znajduje się obecnie w znakomitej kondycji, znacznie lepszej niż zdegenerowany naród rosyjski. Tatarzy mają olbrzymie ambicje. I są piekielnie niezadowoleni z tego, że muszą dzielić się zyskami ze swoich surowców z dojącym ich rosyjskim molochem.

Tatarstan spróbuje się wybić na niepodległość?

Jeżeli tylko dojdzie do jakiegoś wewnętrznego zawirowania, to nie mam co do tego wątpliwości. Tatarstan będzie pierwszym krajem, który odpadnie od Federacji Rosyjskiej. Druga będzie Syberia.

Która staje się coraz bardziej chińska.

Jestem pewien, że za 10–15 lat Syberia nie będzie już częścią Rosji. Urodziłem się na sowieckim Dalekim Wschodzie, na samym krańcu imperium nad Pacyfikiem. Kocham Syberię. I choć nie mogę jeszcze powiedzieć, że Syberia należy do Chin, to już nie mogę również powiedzieć, że należy do Rosji. Proces przejmowania tych terenów już się rozpoczął.

nie było w stanie wykonać. Od razu pojawiłby się problem logistyczny: należałoby przejść przez całą Białoruś, a już to mogłoby przekroczyć możliwości rosyjskiej armii.

Nie jest to znowu tak daleko.

Mimo to rosyjska armia po prostu by się rozlaźla. Nie ma w niej dyscypliny. Oficerowie nie byłoby w stanie utrzymać wojska w kupie. Zresztą pewnie nawet nie chcieliby tego robić. W momencie kryzysu – jakim byłaby wojna z każdym państwem potężniejszym niż Gruzja – Rosja by się po prostu wewnętrznie załamała. Implodowałaby.

Tak jak podczas I wojny światowej?

Tak, tylko że od razu, a nie dopiero po kilku latach. Reżim Putina popełnia podstawowy błąd – przecenia własne możliwości

FOTO: GETTY IMAGES/FPW

W jaki sposób?

Rosjanie po prostu z Syberii masowo wyjeżdżają. Nie mają żadnego powodu, żeby tam dalej mieszkać. Otoczeni są obcoplemieniami, żyją w trudnych warunkach klimatycznych, w biedzie. Stanowią niewielki odsetek populacji, mniej więcej taki sam, jak niegdyś Brytyjczycy w swoich afrykańskich koloniach. Ich miejsce zajmują Chińczycy.

Ilu już może ich być na Syberii?

Nikt tego nie wie. Są to jednak liczby olbrzymie. Ten napływ spowodowany jest restrykcyjną polityką jednego dziecka prowadzoną przez chińską partię komunistyczną. Polityka ta jest sprzeczna z chińską mentalnością i tradycją, w której duża liczba dzieci jest synonimem sukcesu oraz powodzenia. Dlatego chińscy mężczyźni masowo wyjeżdżają na Syberię, gdzie są najlepszą partią dla tamtejszych kobiet.

Dlaczego?

Bo w przeciwieństwie do Rosjan nie zapijają się na śmierć. Są pracownicy, potrafią utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie. W efekcie Rosjanki marzą o chińskim mężu. A Chińczyk marzy o tym, żeby z taką kobietą mieć jak najwięcej dzieci. Najlepiej 15. Przrost naturalny wśród Chińczyków na Syberii jest więc olbrzymi. Rosjanie zaś wymierają. Długofalowy efekt takiego zjawiska jest oczywisty. Syberia niedługo będzie chińska. Najpierw stanie się chińska etnicznie, a później politycznie. Zostanie wchłonięta przez państwo chińskie. To zresztą naturalne. Bilion Chińczyków dusi się w swoim państwie. Potrzebuje przestrzeni i surowców. Obie te rzeczy oferuje sąsiednia Syberia, która jest terytorium niemal pustym, dziewiczym. Rosjanie żyją tam w zasadzie tylko wzdłuż Kolei Transsyberyjskiej.

Mówi pan o upadku rosyjskich mężczyzn.

To kolejny dowód na to, że nie ma powodów, żeby bać się Rosji. Rosjanie są bowiem wymierającym gatunkiem. Wyniszczają ich alkoholizm, choroby. W efekcie cały naród się degeneruje. Fizycznie, ale przede wszystkim mentalnie. Następuje całkowity rozkład. ONZ opublikował badania, według których przekroczenie pewnej ilości rocznego spożycia alkoholu na głowę mieszkańca oznacza wejście na drogę unicestwienia narodu. Obok była tabela. Rosjanie przekroczyli ten poziom dwukrotnie. I tu nie chodzi nawet o ilość alkoholu, ale o jakość. W Rosji mafia na przemysłową skalę produkuje alkohol będący de facto trucizną. Ludzie go piją i umierają.



Nie mam wątpliwości, że Putin jest ostatnim prezydentem Rosji – mówi Suworow. FOT. ULLY/IMAGES/UPM

Wróćmy do scenariusza ewentualnego rozpadu Rosji.

Powtarzam: ten rozpad nastąpi na pewno. Będzie to kolejna faza rozpadu imperium, który rozpoczął się w roku 1991, gdy został rozczłonkowany Związek Sowiecki. Od 20 lat to, co po nim pozostało, trzeszczy w szwach, i w końcu te szwy puszczą. Nie mam wątpliwości, że Władimir Putin jest ostatnim prezydentem Rosji.

Czy taki rozpad może się odbyć w sposób pokojowy, tak jak w roku 1991?

Imperia na ogół nie rozpadają się w sposób pokojowy. Wyjątkiem od tej zasady był rzeczywiście rok 1991. Znając jednak skalę napięcia, jakie występuje obecnie na terenie Federacji Rosyjskiej, rozpadowi tego tworzywa może towarzyszyć fala brutalnej, gwałtownej przemocy.

Co by to oznaczało dla Polski?

Jesteście oddzieleni od Rosji Białorusią i Ukrainą, co jest dla was błogosławieństwem. Gdy w Rosji dojdzie do przewidywanego przeze mnie trzęsienia ziemi, do was dojdą tylko niewielkie drgania. Największe zagrożenie związane jest z tym, że na terenie Rosji znajduje się olbrzymia ilość broni nuklearnej. Gdy państwo to zacznie się załamywać i pograży się w wojnie domowej, głowice mogą wpaść w nieodpowiednie ręce.

Cała Rosja jest zresztą tykającą bombą. Znajduje się w niej wiele elektrowni jądrowych, fabryk chemicznych, arsenałów broni biologicznej. Wszystkie te obiekty wymagają bardzo specjalistycznych procedur, fachowej obsługi. Gdy w Rosji zapanuje

chaos, nikt nie będzie miał do tego głowy. Rozumie pan, co to oznacza?

Rozumiem. I mam nadzieję, że te obiekty nie wymkną się spod kontroli.

Ja także mam taką nadzieję. Jednak nie mam nadziei, jeśli chodzi o przyszłość Rosji. Żadnej nadziei nie ma też większość Rosjan. Nie widzą światła w tunelu. Rosja na ich oczach się wali. Mają poczucie upokorzenia, tego, że żyją w zacofanym kraju. Rosjanie nie mają być z czego dumni. Ich ojczyzna nie jest europejskim państwem, przypomina bardziej afrykańską kolonię. Niczego się z Rosji nie produkuje, kraj utrzymuje się z dostarczania do cywilizowanych państw surowców. Tak jak jakiś Bantustan.

Jeden rosyjski produkt nadal cieszy się sporym powodzeniem...

Automat Kałasznikowa. Gdy włączy się wiadomości telewizyjne, można być pewnym, że zaraz zobaczy się „kałasza”. Nie ma bowiem dnia, żeby w jakimś miejscu na świecie jedni ludzie nie mordowali innych za pomocą tej broni. W ten sposób Rosja stała się czołowym światowym eksporterem terroryzmu. Z czego mają być dumni Rosjanie? Z tego, że Abramowicz kupił w Anglii klub piłkarski lub nowe ferrari? Ci, którzy mają trochę oleju w głowie, po prostu wyjeżdżają z tego walącego się kraju. Następuje negatywna selekcja naturalna.

Kto głównie wyjeżdża?

Każdy, kto jest ambitny i brzydzi się sitw, które opanowały kraj. Jeżdżą często do Ameryki z wykładami dla Rosjan. Kogo ja tam nie spotykam! Wybitni fizycy nuklearni, specje od komputerów, najlepsi chirurdzy. Ich ojczyzna nie jest w stanie wykorzystać ich możliwości i zapewnić im godnego życia. Uciekają więc i pracują dla innego kraju.

Dla pana, jako rosyjskiego patrioty, to musi być wielki dramat.

(chwila ciszy) Wie pan, ja zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, już 35 lat temu. Wtedy właśnie podjąłem decyzję o ucieczce na Zachód. Zrozumiałem bowiem wówczas, że Rosja jest krajem bez przyszłości. To bardzo smutne, jednakże proszę pamiętać o starej zasadzie Karola Marksa: każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje. •



Wiktor Suworow jest rosyjskim pisarzem – autorem m.in. „Ładolamacza” oraz „Akwarium” – i byłym oficerem GRU. Mieszka w Wielkiej Brytanii. W czasach ZSRS skazany zaocznie na karę śmierci.

SYLWETKA

Warcabista

„Znowu to zrobił” – tak można by streścić komentarze większości publicystów, nawet tych, którzy dotąd specjalnie nie wychylali się z krytyką ministra. Znowu, bo Radosław Sikorski nie pierwszy raz porozumiewa się za pomocą Twittera ze światem zewnętrznym, nie pierwszy raz składa tutaj deklaracje i ogłasza swoje decyzje, co gorsza przeplatając je tweetami zachęcającymi do kupna książki kucharskiej żony. Tym razem jednak uczynił coś, co nie mieści się w żadnym zbiorze prawideł współczesnej dyplomacji. Ani „negocjacyjna gorączka”, ani uraza do Jarosława Kaczyńskiego i PiS, ani wredny charakter Janukowycza nie usprawiedliwiają Sikorskiego. Sugerowanie, że jeden z najważniejszych sąsiadów Polski to kraj do cna skorumpowany, w który nie warto inwestować, było więcej niż zbrodnią. Było błędem. Notabene identycznego języka używali

10 lat temu zachodni przeciwnicy przyjmowania do Unii Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Widzieli w nas nieokrzesane, przekupne plemiona, łase na unijne fundusze. Obce Europie ludy, które najlepiej trzymać na dystans.

PARTNER CZY DIABEŁ

Kilka tygodni temu w Genewie toczyły się inne, niezwykle istotne rozmowy: zachodni ministrowie spraw zagranicznych przekonywali Iran, by ograniczył swój program nuklearny. W zamian oferowano Persom złagodzenie sankcji gospodarczych. W pewnym momencie negocjacje zostały zawieszone, bo jeden z ich uczestników, szef francuskiej dyplomacji Laurent Fabius, uznał, że ustępstwa wobec Teheranu poszły za daleko. Czy jednak Fabius

■ stwierdził na Twitterze, że Iran „stanowi największe zagrożenie dla współczesnego świata”? Że jest brutalną dyktaturą? Że z ajatollahami nie powinno się rozmawiać dopóty, dopóki nie nawrócą się na demokrację? Nie, dlatego, że Laurent Fabius jest wytrawnym, dojrzałym dyplomatą. Wiedział, że akurat w tym momencie podobne słowa byłyby niestosowne i tylko zaszkodziłyby wspólnej sprawie. Dla Fabiusa dyplomacja to finezyjna gra, wymagająca zmysłu szachisty, pełna niespodziewanych zwrotów akcji, gambitów i kontrataków. Sikorski zaś zachowuje się często tak, jakby dyplomacja była dla niego partią warcabów: celem jest jak najszybsze doprowadzenie pionka do ostatniej linii, by zamienić się w „damkę” i błyskawicznie zbić wszystkie pionki rywala. A potem można już triumfalnie unieść ręce, odbierać gratulacje od kolegów warcabistów i pozować fotoreporterom.

Minister Sikorski skonstatował ponieważ, że ze swoim wpisem nieco się zagalopował. „To jest pewien dylemat, jak chce się utrzymać kontakt z wyborcami i pisać na żywo na Twitterze. Raz na tysiąc tweetów jest taki, który jest źle zrozumiany lub nieudany” – mówił szef dyplomacji w programie „Tomasz Lis na żywo”. Jego beżmyślny wyskok próbowali „odkręcać” i premier, i prezydent. „Należy utrzymać wszystkie kanały kontaktów z władzami Ukrainy” – stwierdził Bronisław Komorowski po spotkaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego. „Do Wiktora Janukowycza trzeba mieć dużo cierpliwości” – tłumaczył Donald Tusk w wywiadzie dla TVP1. Szkoda, że takie zdania nie wyszły wcześniej spod klawiatury samego Sikorskiego i nie pojawiły się na jego twitterowym koncie. Wszak owa cierpliwość i zdolność do rozmowy ze wszelkimi siłami politycznymi na Ukrainie to jeden z niewielu atutów, jakie Polska posiada w tej rozgrywce. Czy Sikorski nie rozumie, że celem naszej dyplomacji powinno być jak najszybsze doprowadzenie do kompromisu w Kijowie, a nie zwiększanie napięcia? Czy nie zdaje sobie sprawy, że dziś jedynym człowiekiem, który może pociągnąć całą, podkreślam – całą, Ukrainę w stronę Zachodu, jest Janukowycz, a nie Julia Tymoszenko czy Witalij Kliczko?

Do rozdźwięku między Komorowskim a Sikorskim na tle stosunków z Ukrainą doszło już latem obecnego roku. Minister spraw zagranicznych mówił wówczas, że Ukraina „nie jest jeszcze gotowa do podpisania umowy stowarzyszeniowej”, i krytykował zbyt wolne tempo wprowadzania reform. W tym samym czasie prezydent mówił Polskiej Agencji Prasowej: „Widzę ogromny postęp na Ukrainie, jeśli chodzi o wypełnianie przyjętych przez nią zobowiązań”. Czy ówczesne deklaracje były przemyślane oraz były próbą zastosowania taktyki „złego i dobrego policjanta”? Czy raczej wynikały z braku koordynacji działań między Pałacem Prezydenckim a aleją Szucha?

Rząd Mykoły Azarowa zaakceptował treść umowy w połowie września. Przez ostatnie trzy lata Bruksela negocjowała z ekipą Janukowycza, ze „skorumpowaną Ukrainą”. Trudno zrozumieć, dlaczego dopiero nazajutrz po fiasku rozmów Sikorski dostrzegł w ukraińskim prezydencie demona. I dlaczego tak łatwo przyszło mu rzucanie w stronę swojego interlokutora dość jednoznacznych epitetów, gdy rokowania nie poszły po jego myśli.

DYPLMACJA SPLENDORÓW

To łaknienie spektakularnego sukcesu jest zabójcze dla polskiej dyplomacji. Sikorski szybko się nudzi sprawami, których nie jest w stanie rozwiązać natychmiast i które nie przynoszą mu dodatkowych punktów w rankingach popularności. O sprowadzenie wraku prezydenckiego tupolewa ze Smoleńska nie walczył zbyt długo – poległ, bo jako warcabista stanął tutaj oko w oko z doświadczonymi arcymistrzami. Nie złościł się nawet specjalnie z tego powodu, nie

ciskał błyskawicami w Siergieja Ławrowa, co świadczy o tym, że nigdy nie była to dla niego kwestia pierwszorzędna. Kiedy jednak przegrywa w sprawach priorytetowych (dla niego samego) – tak jak w przypadku umowy stowarzyszeniowej z Ukrainą – eksploduje wściekłością niczym siedmiolatek, któremu fala zmyła moźolnie wznoszony zamek z piasku.

Sikorskiego interesują tylko sukcesy pełne, niekwestionowane i dające dużo osobistej przyjemności. Być może jego resort nie byłby przeżarty „rakiem korupcji”, gdyby sam przyczynił się wcześniej do oczyszczenia tej stajni Augiasza i więcej czasu poświęcał na nadzorowanie podległej mu instytucji. Tylko że sprzątanie MSZ nie przyniosłoby mu odpowiedniej „ekspozycji medialnej”, a kanclerz Angela Merkel prawdopodobnie nie zadzwoniłaby z gratulacjami. Być może zajęłby się problemami dzieci polskich emigrantów w Niemczech, którym zakazuje się mówić w ojczystym języku, gdyby można było zorganizować w tej sprawie jakąś wielką, międzynarodową konferencję, pod jego patronatem i najlepiej w Chobielinie. Być może ostrzej walczyłby o stanowiska dla polskich urzędników w różnych unijnych instytucjach, gdyby wiedział, że każda taka nominacja zostanie

zauważona na pierwszej stronie „Financial Timesa”, z wyraźnym znaczeniem, na kogo powinny spłynąć splendory. Sikorski woli jednak zaangażować się w promowanie używania nazwy „Królewiec” zamiast Kaliningradu, bo media zawsze podchwycą taki temat jako „fajną inicjatywę pana ministra”. I – co równie ważne – bezpieczną. Nawet Siergiej Ławrow nie powinien się specjalnie skrzywić na taką „dyplomatyczną ofensywę Polski”.

PROWADŹ PANIE

Sikorski sumiennie dba o to, by koledzy ze szczytów i z bankietów się na niego nie krzywili. Wynika to z chęci wkupienia się w łaski europejskiej arystokracji – za wszelką cenę. Zwłaszcza za cenę porzucenia swoich niegdysiejszych neokonserwatywnych poglądów, zduszenia w sobie rusofobicznych ciągłotek i stanowcze- go odcięcia się od niechlubnej przeszłości w ultranacjonalistycznym rządzie PiS.

Sikorski wstrzyknął sobie w żyły niebieską krew, przenosząc na realia współczesnej Unii Europejskiej brytyjską wizję klasowego społeczeństwa. Tak jak lordowie patrzą na klasy niższe z ledwie skrywaną pogardą, tak polski minister kpi ze wszystkich eurosceptyków, traktując ich jak walijskich wieśniaków.

Kto jest arystokratą na Wyspach? Ktoś, kto może się poszczycić imponującym drzewem genealogicznym, wielką posiadłością z zamkiem, stadniną arabów i zaproszeniami od królowej. Kto zaś jest arystokratą w Unii Europejskiej? Ktoś, kto ma bezkrytycznie prounijne poglądy, dostaje zaproszenia na herbatkę od Catherine Ashton i jest na „ty” z José, Hermanem, Guido i Williamem. Chłopak z Bydgoszczy, mówiący po angielsku „z oksfordzkim akcentem”, nigdy nie mógł oczywiście zostać angielskim diukiem. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, by został eurohrabią. Niemniej wygląda na to, że nawet ten tytuł go nie zadowala. Kiedy w zeszłą środę obwieścił w radiowych „Sygnałach dnia”, że mimo napiętej sytuacji wybiera się do Kijowa na spotkanie ministrów spraw zagranicznych OBWE, nie omieszczał dodać: „Do ostatniej chwili wahałem się, czy brać w nim udział. Gdy pałowano ludzi na ulicach, to raczej byłam na »nie«. Kilkunastu kolegów w Europie czekało na moje stanowisko”.

Czekali na jego stanowisko niczym średniowieczni rycerze zasiadający przy okrągłym stole i wpatrzeni w promieniujące mądrością oblicze króla Artura. ■